NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk — 1 Rsb. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rsb. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 3 Rsb. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rsb 20 kop. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk. — 7 Rsb. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA KRAKÓW, ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.
Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi.

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok V. Kraków, 3 października 1908. Nr. 40.

Samobójstwo młodej artystki.

(Treść na str. 2



Treść numeru: Minister na wystawie jarosławskiej. — Straszna katastrofa w Berlinie. — Umizgi Menelika do Francyi. — Zbiorniki ropy. — Międzyparlamentarna konferencya pokojowa. — Kongres eucharystyczny w Londynie. — Zniszczenie domu Kapuletów. — Tragedya w Lublanie (Szereg oryginalnych zdjęć). — Zdjęcia z manifestacyi o sejmową reformę wyborczą.

Samobójstwo młodej artystki.

(Do illustracyi tytułowej).

W ubiegły piątek poruszyła cały Kraków, a szczególniej sfery mające styczność z teatrem, smutna wiadomość, że młoda a utalentowana arty-



Samobójstwo młodej artystki: Jadwiga Orliczówna.

stka dramatyczna p. Jadwiga Orliczówna odebrała sobie życie. Wiadomość, której początkowo nie wierzono, okazała się niestety prawdziwą. W mieszkaniu swem na Dębnikach targnęła się rzeczywiście młoda adeptka Melpomeny na swe życie, zażywszy jakiegoś narkotyku, najprawdopodobniej morfiny, i mimo szybkiej a umiejętnej pomocy lekarskiej, jakiej udzielił jej dr. Komorowski z Półwsia, i jeden z lekarzy krakowskich wyzionęła wkrótce ducha. Co było powodem rozpaczliwego czynu, dotąd nie wiadomo, desperatka nia zdradzała wcale samobójczych zamiarów, a jeszcze w przeddzień samobójstwa występowała za scenie krakowskiej. Na chwilę przed zażyciem zabójczego narkotyku napisała denatka obszerny list do rodziców, którego treść obcą jest jednak szerszej publiczności. Przypuszczalną przyczyną samobójstwa są wedle jednych trudności finansowe, w jakich młode artystki zazwyczaj się znajdują, wedle innych rozdrażnienie nerwowe, które miałoby i w tej okoliczności potwierdzenie, że w tem samem mieszkaniu odebrała sobie nie tak dawno życie śp. Brodzka, koleżanka zmarłej, również artystka krakowskiej sceny. Jaką sympatyą cieszyła się śp. zmarła i jakie współczucie tragiczny jej zgon obudził, przekonano się dowodnie z tłumnego udziału publiczności, kolegów i koleżanek, którzy oddali jej w niedzielę ostatnią posługę.

Illustracya nasza przedstawia chwilę, gdy lekarze usiłują bezskutecznie przywrócić śp. Orliczównę do przytomności.

Tragedya w Lublanie.

Na ulicach Lublany, stolicy Krainy, polała się krew. Z powodu demonstracyi antiniemieckich przyszło do starcia z wojskiem — padły strzały, a w następstwie dwa trupy i wielu rannych. Tragedya krótka i nie nowa, tragedya, jakich wiele. Nawet w Austryi, w państwie powszechnego, równego, tajnego i bezpośredniego głosowania! Wiadomości o podobnych wypadkach dochodziły do nas już niejednokrotnie z rozmaitych stron monarchii, a nawet widzieliśmy takie zajścia na własne oczy w naszym kraju.

A jednak jest w tragedyi lublańskiej coś szczególnego, coś bardziej wstrząsającego. Na myśl o



Tragedya w Lublanie: Zdemolowane okna restauracyi w kasynie niemieckiem.

tem serce się wzdraga. Pod pióro cisną się słowa bolesne, gorzkie. Ale przykład *Czasu*, który przed paru dniami za korespondencyę ks. dra Lenarda, znanego działacza słoweńskiego, zawierającą opis tych strasznych wypadków, został skonfiskowany, zmusza nas do ograniczenia się jedynie na suchem, krótkiem przedstawieniu faktów.

A fakty były takie. Słoweńskie towarzystwo oświatowe „Družba Svetoga Cirila i Metody“ (analogiczne do polskiego T. S. L), zwołało przed kilkunastu dniami walne zgromadzenie do Ptuju, miasta w południowej Styryi, zamieszkanego w znacznej większości przez ludność słoweńską. Miejscowi Niemcy zaatakowali przybyłych na zgromadzenie członków towarzystwa i wielu z nich pobili.

Wywołało to uzasadnione oburzenie wśród całej ludności słoweńskiej, zwłaszcza w Lublanie. Wyrazem tego był wiec protestujący, urządzony przez Słoweńców w Lublanie. Po wiecu, w którym udział wzięło około 10 000 ludzi, kilkuset gorętszych u-



Tragedya w Lublanie: Burmistrz miasta Lublany, Iwan Hribar.

czestników urządziło na ulicach miasta hałaśliwą demonstracyę antiniemiecką, przyczem wybito szyby w kilku budynkach, zamieszkałych przez Niemców; najbardziej ucierpiał lokal kasyna niemieckiego.



Tragedya w Lublanie: Zwłoki Rudolfa Lundzy i Jana Adamcza na marach.

Ekscesy młodzieży nie znalazły uznania wśród poważnych Słoweńców, których zdaniem walka z Niemcami toczyć się powinna na drodze legalnej, o przewagę kulturną i ekonomiczną. Mimo to zajścia wyżej opisane wywołały ze strony rządu reakcyę, a przedewszystkiem oddanie władzy w mieście w ręce komendata wojska. Pojawienie się pieszych i konnych oddziałów armii wywołało w całem mieście niesłychane rozgoryczenie, nad którem nawet bardzo popularne i rozważne żywioły zapanować nie były w stanie. Ludność mimo to zachowywała się spokojnie i nawet w krytycznym dniu, w niedzielę 20 września, do południa nic nie zapowiadało krwawej tragedyi.

Do burzy przyszło dopiero popołudniu, gdy w kilku miejscach ludność słoweńska zgromadziła się liczniej i śpiewała pieśni narodowe. Wówczas wkroczyło wojsko i poczęło rozpędzać zgromadzone tłumy. Najtragiczniej skończył się taki epizod na placu Pugaczowa, tam bowiem porucznik 27 p. p. Meyer dał żołnierzom rozkaz strzelania, gdy grupa młodzieży zaintonowała pieśń „Hej Sloveni“. Skutki strzałów były straszne. Dwu młodych ludzi — Jan Adawicz, 15 letni uczeń gimnazyalny i Rudolf Lundza, 20-letni maszynista drukarni, ponieśli śmierć, a sporo osób zostało zranionych.

Do większej katastrofy nie doszło tylko dzięki energicznej interwencyi burmistrza Lublany, posła I. Hribara, który wpłynął na władze, iż wojsko cofnięto — a wówczas i ludność się uspokoiła. Mimo to wrzenie panuje dotąd wśród ludności słoweńskiej, a zwraca się ono głównie przeciw Niemcom. Nienawiść objawia się przedewszystkiem w żdzieraniu niemieckich szyldów i napisów.

Przez parę dni była Lublana pogrążona w żałobie. A jak głęboko wstrząsły wypadki niedzielne całą ludnością, dowodem manifestacyjny pogrzeb ofiar krwawych zajść. Nieprzejrzane tłumy zaległy ulice, któremi kondukt przeciągał, oraz cmentarz, gdzie zwłoki złożono. Cały smutny obrzęd odbył się w zupełnym spokoju i poważnie.



O powszechne głosowanie do Sejmu: Manifestacya robotnicza przed gmachem Sejmu.



Tragedya w Lublanie: Manifestacyjny pogrzeb ofiar wypadków w Lublanie.

Zgon polskiej poetki.

Bolesną wiadomość przyniosły przed paru dniami dzienniki warszawskie. Oto zmarła tam znana całemu ogółowi polskiemu poetka Jadwiga Łuszczewska, której utwory pod pseudoninem Deotymy cieszyły się przed laty dużą popularnością. Najsilniej zaś odczuje zgon Deotymy Warszawa literacka i artystyczna. Bo Warszawa ta gromadziła się stale w salonie poetki i spędzała tam miłe chwile na pogadankach o sprawach artystycznych i literackich.

Głównem znamieniem twórczości i życia ś. p. Łuszczewskiej była szczytność. Sztukę traktowała ona jako posłannictwo, jako kapłaństwo, była arystokratką myśli i ducha. Swą dystynkcyą towarzyską onieśmielała wielu, choć ta dystynkcya i wyniosłość nie były pozą, lecz stałym nastrojem.

Wpłynęła na to usposobienie pieśniarki polskiej młodość, którą spędziła w otoczeniu i wśród wrażeń wysoce podniosłych w domu swych rodziców, ludzi wysokiej kultury i wykształcenia. — Już jako kilkunastoletnia panienka zdumiewała całą Warszawę swemi impowizacyami. W r. 1854 — poetka liczyła wówczas 22 lat — wydała po raz pierwszy drukiem swe utwory, które sławę jej ugruntowały. W latach następnych pojawiały się coraz to nowe tomiki jej poezyi, odznaczające się formą wykwintną, bogactwem języka i szlachetnością uczuć. Mniej w nich było natchnienia, mniej prostoty niż w innych współczesnych utworach poetyckich, ale artyzm doprowadzony do mistrzowstwa, stanowił ich zaletę.



Tragedya w Lublanie: Pogrzeb ofiar tragedyi na cmentarzu w Lublanie.

W świątyni poezyi narodowej zachowa też Deotyma miejsce zaszczytne.
Cześć jej pamięci!

O powszechne głosowanie do Sejmu.

Od lat trwająca walka o zdobycie powszechnego prawa głosowania do Sejmu galicyjskiego, nie została dotychczas uwieńczona dobrym skutkiem. Wprawdzie wszystkie stronnictwa polityczne mówią głośno o potrzebie reformy wyborczej, o potrzebie rozszerzenia prawa głosowania na najszersze warstwy społeczne, wprawdzie cała lewica demokratyczna, stronnictwo ludowe i oba kluby ruskie wołają o tę reformę, mimo to sprawa nie posuwa się naprzód.

Nie posunie też jej zapewne niedzielna manifestacya robotnicza, urządzona przez lwowską partyę socyalno-demokratyczną. Na wezwanie jej stawiło się pod gmachem sejmowym parę tysięcy robotników, a deputacya partyi, złożona z jej reprezentantów, z posłami Daszyńskim, Hudecem, dr. Diamandem i Witykiem na czele, udała się do marszałka kraju Stanisława hr. Badeniego i przedstawiła mu przez usta pp. Daszyńskiego i Wityka żądania robotnicze. Marszałek przyjął deputacyę „życzliwie“ co do sprawy reformy wyborczej zaś oświadczył, iż żadnych przyrzeczeń dać nie może, gdyż nie ma do tego prawa.



O powszechne głosowanie do Sejmu: Członkowie deputacyi pp. Daszyński (1), Wityk (2) i dr. Diamand (3), składają przed namiestnictwem relacyę zebranym robotnikom. Na lewo kom. policyi Karabanowski (X), który następnie został zraniony.

Od marszałka udała się deputacya do przedstawicieli klubów sejmowych polskich i ruskich, poczem poseł Diamand zawiadomił zebranych pod Sejmem robotników o wyniku posłuchania. Następnie ruszyli zebrani tłumnie w ul. Brajerowską pod gmach kasy chorych, gdzie przyszło do utarczki z policyą, która chciała rozpędzić manifestantów i dobyła pałaszów. W zamieszaniu zostało kilkanaście osób zranionych i potłuczonych.

Wnet potem deputacya podążyła do namiestnika z przedstawieniem swych postulatów, przyczem p. Diamand skarżył się na zachowanie się policyi wobec robotników. Namiestnik dr. Bobrzyński przyrzekł przeprowadzić śledztwo i ukarać w danym razie winnych.

Czekającym na wynik posłuchania w namiestnictwie robotnikom zdał sprawę p. Daszyński. Na pl. Maryackim przyszło ponownie do zajścia z policyą, przyczem komisarz Karabanowski został kamieniem dotkliwie skaleczony w głowę.

Zajścia te wywołały aresztowanie kilka osób, z których jedną zatrzymano w areszcie śledczym pod zarzutem gwałtu publicznego.

Postępek policyi był też przedmiotem dyskusyi w lwowskiej radzie miejskiej, która na wniosek radnego dr. Liliena uchwaliła zażądać surowego przeciw winnym śledztwa.



Zgon polskiej poetki: Pochód pogrzebowy ś. p. Jadwigi Łuszczewskiej (Deotymy) w ulicach Warszawy.

Tajemnice wielkiego świata.

POWIEŚĆ.

Napisał Czesław Radomski.

CZĘŚĆ DRUGA.

16

Z pewną nieśmiałością zapytała go jednego dnia: czy nie wypadałoby zawiadomić ciotkę o urodzinach dziecka, lecz Korf oprysklіwie odpowiedział, że nikt w całej Warszawie nie powinien jeszcze wiedzieć o tem. Po chwili, panując już nad mimowolnem uniesieniem, dodał tonem uprzejmym:

— Niczem się nie kłopocz, ja sam myślę o wszystkiem, a co potrzeba załatwić, załatwię tak, że będziesz zadowolona.

Całe dwa tygodnie upłynęły, zanim poszedł do merostwa złożyć zawiadomienie o urodzinach córki. Dość długo prowadził z merem tajne rokowania, uwieńczone w końcu pomyślnym skutkiem. Skały, na których rozsiadła się burgada Castillon, zaledwie kilkanaście lat temu przeszły w posiadanie Francyi. To, co na całej przestrzeni ziem Rzeczypospolitej byłoby niemożliwem, tu, w tem orlem gnieździe, wiszącem na jakie tysiąc czterysta metrów nad wszelką cywilizowaną miejscowością, dało się załatwić bez wielkiego trudu. Córka baronowej i barona Korfa zapisaną została do ksiąg metrykalnych, jako urodzona w końcu lutego; w parafii zaś akt, sporządzony w merostwie, przyjęto bez opozycyi wraz z sutą ofiarą na kościół.

Zofia obecnie nie śmiała go o cokolwiekbądź pytać, zwłaszcza że razem z Rutkowską oddaną była przedewszystkiem pielęgnowaniu niemowlęcia. Nie chciała zresztą zastanawiać się nad wszystkiemi oszukaństwami, obmyśliwanemi i wykonywanemi przez barona rozważnie i chłodno, były bowiem dla niej wstrętne i sprzeczne z wrodzoną jej prawością charakteru.

W pierwszych dniach marca doręczył mąż Zofii kilka dzienników warszawskich i paryskich z następującym artykulikiem, obwiedzionym w koło grubym nawiasem, nakreślonym czerwonym ołówkiem:

„Dowiadujemy się od jednego z naszych stałych korespondentów, że Zofia z hrabiów Wielohradzkich baronowa Korf, przebywająca obecnie w willi swojej nad morzem Śródziemnem, powiła w tych dniach córeczkę, której na chrzcie świętym nadano imię Janiny. Matka i dziecko mają się jak najlepiej i spodziewani są wkrótce w Paryżu, dokąd baronostwo Korf przenoszą się na dłuższy, prawdopodobnie półroczny pobyt, baron bowiem nabył tam piękny, świeżo wzniesiony pałac w pobliżu Pól Elizejskich“.

— Ach! — rzekła Zofia, nie ukrywając swego niezadowolenia — na co mieszać szerszą publiczność do spraw domowych i rodzinnych?

— Moja droga — odparł mąż z zupełnym spokojem — mam córkę, więc o radości, jakiej z tego powodu doznaję, donoszę całemu światu.

Po kilku dniach przychodzić zaczęły od krewnych i znajomych z Warszawy i Paryża liczne telegramy i listy z banalnemi powinszowaniami. Ciotka Dulska, żartując według zwyczaju z siebie samej i swego egoizmu, przysłała słowa poniższe:

„Dziękuję droga Zosiu, równie Tobie jak i Twemu dobremu mężowi, że oszczędziliście mi troski i niepokoju, nie donosząc wcale o stanie błogosławionym, w jakim moja ukochana siostrzenica znajdować się musiała już od dość dawna. To milczenie wasze sprawiło, że nie dręczyłam się i nie martwiłam, co w ciągu kilku miesięcy byłoby dla mnie bardzo niemiłem, a wcale niepotrzebnem. Teraz zaś, gdy przyjście na świat małej Janinki jest faktem dokonanym, cieszę się pomyślnem rozwiązaniem Zosi niewymownie. Przypuszczam, że obecnie obecność moja w Castillon byłaby dla Was obojga tylko próżnym kłopotem, więc nie wybieram się nad morze Śródziemne; wolę odłożyć moje odwiedziny do czasu, w którym osiedlisz się w Paryżu i gdy sama czuć się będę silniejszą niż w tej chwili, bo chociaż w ścisłem znaczeniu tego wyrazu chorą nie jestem, lekarze jednak każą mi dbać o siebie i korzystać z zupełnego spokoju, jaki mam tutaj“.

IX.

Ja tu panem!

Obecnie, równie Zofia, jak i babcia Rutkowska spędzały cały czas na zachwycaniu się małą Janinką, która z nieznośnego i krzykliwego bębna przeobrażała się dość spiesznie w coraz ładniejsze i coraz spokojniej zachowujące się dziecko. Matka w ciągu każdego dnia opuszczała raz jeden córeczkę, dr. Marczak bowiem surowo jej zalecił:

— Dwugodzinną codzienną przechadzkę około południa na słońcu.

W takich wycieczkach zwykle mąż jej towarzyszył, lecz niekiedy, nie uprzedzając nikogo o tem, wychodziła sama, czuła bowiem konieczną potrzebę odosobnienia, samotności. Zdarzało się to wtedy, gdy w nieukształtowanych dotąd należycie rysach twarzyczki Janiny, dostrzegała zbyt wyraźne podobieństwo do Zygmunta. W czasie jej nieobecności Rutkowska ani na chwilę nie opuszczała kołyski.

Pewnego dnia po wyjściu Zofii na spacer baron Korf wpadł nagle do pokoju, w którym dziecko spało.

— Co ci jest? — spytała matka.

Twarz miał zmienioną, w oczach jego migotały błyskawice. Nie odpowiedział na pytanie, tylko sam zapytał głosem drżącym od wewnętrznego wzruszenia:

— Jak się ma obecnie Zofia?

— Dobrze.

— Czy jest już zupełnie zdrowa?

— Zupełnie. Powietrze naszych gór powróciło jej licom dawną świeżość. Piękniejszą mi się wydaje, niż kiedykolwiek...

— Tak, tak, piękna!... a piękność jej doprowadza mnie do szaleństwa! Ponieważ sądzisz, że jest dość silna i może znieść wszelkie wzruszenie, skradniemy jej dziecko!

— Co? — zawołała Rutkowska zdławionym głosem. Chcesz skraść jej dziecko? Czy zwaryowałeś?

— Nie, nie! nie zwaryowałem.. lecz to jedyny sposób zapanowania nad nią... więc ty mi dopomożesz...

Rutkowska powstała z miejsca i dysząc jak lwica, broniąca swoich małych, bezmyślnie prawie zasłoniła sobą kołyskę. W tej chwili weszła mamka, chłopka z pod Kalisza, nie rozumiejąca ani słówka po francusku. Korf groźnym, niemal wściekłym gestem wskazał jej drzwi. Baba przestraszona uciekła do kuchni — a baron zwrócił się do matki:

— Czyżbyś śmiała — zawołał — przeciw mnie stawać i bronić mojej żony?

— Jestem przedewszystkiem za sprawiedliwością — odparła stara kobieta tonem energicznym. Nie wiem, co zaszło między wami... Jeśli mam wierzyć mnie przeczuciom, prawdopodobnie coś bardzo przykrego... lecz równocześnie przeczuwam także, że sprawiedliwość nie jest po twojej stronie!...

Korf roześmiał się szyderczo.

— Ach, gdybyś wiedziała!

— Mów-że nareszcie! Ile razy żądałam od ciebie wyjaśnień, nie chciałeś odpowiadać... Mów więc teraz!

— Czy ci nie wystarcza, że syn powiada: tak chcę, tak być musi? Czy nienawidzisz go do tego stopnia, że milszą ci jest osoba obca?... Matko! ja cierpię strasznie, okropnie, bo ta kobieta mną pogardza! Pragnę upokorzyć jej dumę, pragnę, żeby u nóg moich klęczała... Niech się wije u stóp moich, niech mnie błaga... a wtedy dopiero zwrócę jej... jej córkę!

— Jej córkę! — zawołała Rutkowska. Czyżby jej córka nie była twoją?

W jednej chwili odgadła tajemnicę, tak długo ukrywaną przed nią przez syna. A gdy Korf milcząc, zwiesił głowę na piersi, nie czekała już na słowne potwierdzenie przypuszczenia.

— Więc Janinka nie jest twoją córką?... a ja... ja nie jestem jej babką?...

Uczuła coś, jakby bolesne rozdarcie w piersi, a serce jej zmroził chłód przejmujący. Zachwiała się na nogach, a przy tem zachwianiu ręka jej, opierająca się na krawędzi kołyski, przechyliła ją nieco. Wpatrzyła się w zaróżowioną, pucułowatą twarzyczkę, tonącą w istnej chmurze koronek i uśmiechającą się do niej przez sen uśmiechem, pełnym nieopisanej słodyczy. Więc to nie jej krew! Te usteczka kłamać będą kiedyś, zowiąc ją babką!... Dwie ciężkie łzy stoczyły się po zmarszczonych licach staruszki do kołyski... Dwumiesięczne rozkoszne marzenia rozwiać się muszą, jak mgła poranna! Więc trzeba będzie wyrzec się pieszczoty tych drobnych ramion, które już kiedy niekiedy chwytały ją za szyję!

Korf zrozumiał, że rozczulenie bierze nad matką przewagę i że dziecko zwycięża... więc musi powiedzieć wszystko, jeśli chce, by matka stała mu się posłuszną.

— Chciałabyś wątpić, nieprawdaż? — mówił z gorączkowem rozdrażnieniem. Wydaje ci się rzeczą nieprawdopodobną, aby panna Wielohradzka nie była aniołem niewinności?... Słuchaj mnie zatem! Gdy ojciec Zofii przyrzekł mi jej rękę, ona już wówczas kochała innego...

— Więc mimo jej woli wydano ją za ciebie?

— Lecz ja w pierwszej chwili nie wiedziałem o niczem... Dowiedziałem się prawdy wtedy dopiero, gdy już rzeczy zaszły tak daleko, że bez wstydu i upokorzenia wobec świata cofnąć się nie mogłem. Zresztą i dziś znam prawdę tylko bardzo niedokładnie! Zdaje mi się... i tego jestem prawie pewny... że kochanek, schwytany w nocy w pokoju Zofii przez ojca i brata, zabity został w jej oczach...

— Och, nieszczęśliwa!...

— Przedstawiono mnie jej nazajutrz... Z początku odtrąciła mnie uczciwie i z godnością... lecz później skłoniono ją do zgodzenia się na związek dla niej wstrętny. Przyznaję jednak, uprzedziła mnie szczerze, że chociaż wychodzi za mnie, będzie zawsze tylko moją przyjaciółką i spólniczką, nigdy żoną... Zgodziłem się, bo mniemałem, że to kaprys dziewczęcy... Przekonany byłem, że prędzej czy później wzbudzę miłość w jej sercu.. Wtem, jak grom z jasnego nieba, spadł na mnie cios nieprzewidywany... jej macierzyństwo!... Co chcesz? byłem tak słaby, że przebaczyłem.. lecz ona, pomimo mego przebaczenia, pozostała niewzruszoną. I obecnie wobec prawa i ludu jestem ojcem, chociaż dotąd nigdy jeszcze ani razu jej ust nie ucałowałem...

Straszny gniew owładnął Rutkowską na chwilę. Szepnęła ochrypłym głosem:

— Och, panny z wielkiego świata!... Kłamstwo i hipokryzya waszym udziałem!... I mnie, głupiego ptaka, wzięła na lep swojej udanej dobroci i skromności... Przysięgam ci, kochałam ją już, jak córkę rodzoną... O, Zofio! Zofio!

To, co usłyszała z ust Korfa, wywołało tak gwałtowne wstrząśnienie w jej duszy, że momentalnie podzieliła rankor syna. Myśl jej, zmącona nagle niespodzianem odkryciem, zgadzała się już poniekąd na dziki zamiar skradzenia matce dziecka i zmuszenia jej tym sposobem do upokorzenia się przed mężem. Zbliżyła się do kołyski, i już... już wyciągała ręce, żeby z niej wziąć Janinkę, gdy naraz coś sobie przypomniała, bo odwróciła się do barona i krzyknęła głosem groźnym:

— Lecz ty... ty nicponiu, czyż nie zasługujesz na tak surową karę? Byłeś niegodziwym synem, a czyny występne muszą być prędzej czy później pomszczone! Zdawało ci się, że możesz urągać sprawiedliwości, bo zbrodnia twoja była światu nieznana. Więc kroczyłeś śmiało od powodzenia do powodzenia, od tryumfu do tryumfu! Zdobywałeś wszystko, czegoś tylko zapragnął: pieniądze kobiety, stanowiska, tytuły. Wszystkiego miałeś pod dostatkiem. Nie brakło ci niczego. Sądziłeś, że niewidzialna jakaś, czy nadprzyrodzona siła ściele ci drogę do nowych zwycięstw. Lecz, nieszczęśliwy, czekał na ciebie Bóg!... Bóg wyznaczył ci najsroższą karę, bo karę dotykającą cię w twojej pysze!... Przecież byłoby oburzającem, aby syn, który świadomie stał się przyczyną śmierci ojca, przeszedł przez życie nieukarany!... Kara cię dosięgła, bo dosięgnąć musiała. Znosić ją będziesz do ostatka dni swoich: żona twoja nie jest twoją żoną! dziecko twoje nie jest twojem dziecikiem!... Pojmuję teraz, dlaczego od pierwszej chwili poznania tak bardzo pokochałam Zosię i dlaczego uboóstwiam Janinkę... oto dlatego, że Bóg mi je powierzył obie! Do mnie... do mnie tylko należą! Zakazuję ci targnąć się na nie!

— Któż mówi u dyabła, że chcę im wyrządzić krzywdę?! — wrzasnął baron, doprowadzony do wściekłości.

Nie panując już nad sobą, rzucił się na matkę i odepchnął ją od kołyski.

— Ja tu jestem panem! — krzyknął — a ty musisz być posłuszną! Jeśli odmówisz mi pomocy, za nic nie ręczę... Nie zdajesz sobie widzę sprawy, czem może się stać człowiek z moim temperamentem i charakterem, gdy go ukochana przez niego kobieta odtrąca... Słuchaj! bywają chwile, w których zdolny jestem zabić jej córkę!...

— Niegodziwcze!

Rutkowska rzuciła się na kołyskę i wyjęła z niej Janinkę, ciągle śpiącą.

— Aniołku mój! skarbie mój! — szeptała, całując dziecinę.

Poczem — jakby zdając się na wolę Boską — rzekła:

— Dokąd chcesz, żebym ją zawiozła?

— Ha, ha! mateczko droga, nareszcie odzyskujesz rozsądek! — zachichotał Korf śmiechem szyderczym.

Ona zaś, tuląc niemowlę do piersi, odparła:

— Czyż niedość grzechu, że gwałtownością swoją zabiłeś ojca? Czyż ja, matka, mam syna mego popychać do nowych grzechów śmiertelnych i pozbawić cię nawet nadziei łaski i przebaczenia w życiu przyszłem?!.. Ulegam twojej woli, uczynię, co zechcesz, lecz przysiądz mi musisz, że ani dziecku, ani matce nie stanie się nic złego.

On, z właściwą sobie łatwością nagłego przerzucania się z uczuć i z wrażeń do wrażeń, już zdawał się zupełnie spokojny, już uśmiechał się dobrodusznie. Cieszył się odniesionem nad matką zwycięstwem, bo przewidywał, że pokona i żonę. Mówił więc, jeszcze z odcieniem gorączkowego podniecenia w głosie, lecz tonem łagodnym, pełnym jednak męskiej siły i stanowczości niezłomnej:

— Czyżbym dotąd otaczał obie najczulszemi staraniami, gdybym zamierzał coś złego im wyrządzić i narazić je na jakiekolwiek cierpienia?... Przyrzekam ci najsolenniej, jak to już zresztą przyrzekłem Zofii, żę będą szczęśliwe... lecz i ja chcę posiąść część należnego mi tu na ziemi szczęścia... i przysięgam, że je posiądę. Od ciebie zaś żądam tylko, żebyś mnie słuchała.

— Mów zatem.

— Dla całego świata Janinka jest i będzie zawsze moją córką... Pragnę, aby równie w Warszawie, jak w Paryżu wszyscy byli o tem bezwzględnie przekonani... spodziewam się zaś, że nikt nie zdradzi tajemnicy, bo nikomu do spraw moich mieszać się nie pozwalam. Wybierając Castillon nad miejsce urodzin małej, chciałem zarazem rozłączyć Zofię na ten czas ze wszystkimi jej krewnymi i znajomymi, co mi się najkompletniej udało. Żaden i żadna z nich nie zadały sobie trudu, żeby tu przyjechać, choćby na krótko. Znam egoizm tych ludzi... i na niego liczyłem. Dla Zofii, prócz ciebie i mnie, wszyscy w całej rodzinie są obcymi. Tu zatem dopiero stałem się jej samowładnym panem.

— Ach! strasznym byłeś i strasznym jesteś dotąd człowiekiem!... zawsze jednakim, gdy czegoś namiętnie pożądasz...

— Nie o tem teraz mowa! — odparł lekceważąco; poczem ciągnął dalej: — Marczak przysłał nam mamkę, nie mającą... ma się rozumieć... najmniejszego pojęcia o języku francuskim, a tembardziej o miejscowem ludowem narzeczu. Taką właśnie mieć tu chciałem... Ty jednak nauczyłaś się porozumiewać z nią na migi. Musisz zatem zabrać ją wraz z dzieckiem i oddalić się stąd natychmiast przed przybyciem Zofii.

— A ty co zrobisz?

— Pozostanę tu z moją żoną... — zachichotał znowu dzikim jakimś, groźnym, szatańskim śmiechem. Będzie to sam na sam, sprzyjające miłości. Czy ktokolwiekbądź ośmieli się poczytać mi za zbrodnię, że chcę być kochany przez żonę?... No! idź, przyprowadź mamkę. Zabierzcie wszystko, czego dziecko potrzebować może i wynoście się stąd czemprędzej!

Rutkowska nagle pozbawiona woli, drżąca i złamana moralnie, poszła po Kaliszankę, aby razem z nią zająć się upakowaniem w niedużym koszyku garderoby Janinki.

Korf tymczasem wysunął się na balkon i trzymając lornetkę przy oczach, badał odległości górzyste, ciągnące się pomiędzy willą a doliną Mentony, wiedział bowiem, że Zofia w tym kierunku zwykle zwraca swoje kroki, gdy sama wyrusza na dalszą wycieczkę. Spostrzegł ją na jednym z zakrętów drogi, stojącą w miejscu, z którego roztaczał się wspaniały widok na morze, ciemnym szafirem odrzynające się na widnokręgu od błękitnego, łączego się z niem nieba.

— Myśli o nim! — szepnął do siebie z wściekłością. Jak ona umie być wierną zmarłemu!... W jaki sposób ten nieznajomy, o którym wspomnienie druzgocze moje szczęście, wzbudził w jej sercu tak silną i trwałą miłość?!

Wrócił do pokoju i prawie grubjańskim tonem przynaglał matkę do pośpiechu.

— Dalej! prędzej! uwijaj się mateczko!

Rutkowska opóźniała się umyślnie, bo ile razy nie było go w pokoju, nie odziaływał na nią hipnotyczną suggestyą swojej woli i swego wzroku, a ona wówczas nie zdawała sobie sprawy, jak mogła zgodzić się na spełnienie tak okrutnego rozkazu.

— Słuchaj! — mówił baron — nie dochodząc do doliny Sospel... nieco wyżej, na prawo, na skalistem zboczu, zwróconem ku południowi... stoi duża, murowana chata...

— Wiem... znam, chata ojca Tomasza, który wraz ze swemi dwoma mułami udał się na cały sezon zimowy do Nizzy...

— Tak. Nająłem dom jego przed dwoma miesiącami... i przygotowałem w nim wszystko, co tylko może ci być potrzebnem w ciągu twego krót-



— Myśli o nim! — szepnął do siebie z wściekłością.

kiego tam pobytu z mamką i dzieckiem, bo przypuszczam — dodał z dumną wiarą w moc swojej przewagi — że długo tam nie zabawicie. Zresztą wiem, jak umiesz dawać sobie radę w najcięższych nawet warunkach życia... Ruszajcie więc co żywo, bo Zofia nadejść może.

— Pamiętaj, co mi przyrzekłeś!

— A ty pamiętaj, co zdolny jestem uczynić, gdy mnie kto nie słucha i chce mi się sprzeciwić!

Właśnie myśl o tem „co syn jej uczynić zdolny“, skłaniała biedną Rutkowską do posłuszeństwa. Wzięła Janinkę na ręce i twarzyczkę dziecka zbliżyła do ust Korfa, który odwrócił się ze wstrętem.

— Nie pocałujesz jej? — zapytała z naiwnością, wrodzoną poczciwemu sercu.

On wybuchnął znowu sarkastycznym chichotem.

— Od dziś całować ją będę tylko wtedy, gdy mnie jej matka pocałuje. No! ruszaj-że, ruszaj jak najprędzej!

Rutkowska zwróciła kroki na lewo ku dolinie Sospel, przyciskając do piersi ukochaną dziecinę. Za nią postępowała mamka obojętna, ospała, zadumana o sutem wynagrodzeniu, przyrzeczonem jej przez barona za wykarmienie Janinki. Myślała, jakby to najprędzej uczynić zadość zobowiązaniu i porzucić ten przeklęty, skalisty kraj, w którym niema zimy, chociaż zimno nieraz dokucza, powrócić do rodzinnej wioski, dokupić szmat ziemi, przylegającej do jej gruntu i gospodarować tak, żeby Bogu była chwała, dla niej i dla dzieci korzyść, a zazdrość sąsiadom. Bo miała „okropnie“ złych sąsiadów, co jej wszelkiego dobra „strasznie“ zazdrościli.

Korf, sprawdziwszy przy pomocy lornetki, że Zofia nie przybędzie do Castillon wcześniej, niż za godzinę, a wciąż jeszcze podejrzewając matkę o zdradę, kroczył za nią powoli w oddaleniu jakich przynajmniej paru tysięcy metrów. I miał poniekąd słuszność, że matce nie ufał, bo gdyby Rutkowska nie czuła, że syn z oka jej nie spuszcza, zbiegłaby niezawodnie na jedną z bocznych ścieżek, wijących się tu w różne strony, aby dostać się do przeciwległego, głównego gościńca, ciągnącego się od Mentony, a zaczaiwszy się za pierwszą lepszą skałą, czekałaby na synowę, by ją uprzedzić, że niema czego się lękać, bo ona otoczy Janinkę najczulszemi staraniami i opieką, zatem dziecku nic a nic złego stać się nie może. Lecz ile razy odwróciła się za siebie, spostrzegała wyniosłą postać syna, sterczącą na przełęczy, rozdzielającej obie doliny i dominującej nad niemi. Więc zrezygnowana szła dalej.

— Lepiej, że idę — myślała — wiem przynajmniej, że dziecko ocalę!

Spuściwszy się niemal na samo dno głębokiego, rozszerzającego się dopiero w tem miejscu wąwozu, zawróciła na prawo, nieco wyżej pod górę — i drożyną, po której przed paru miesiącami stąpały muły ojca Tomasza, dotarła do jego chaty, przed którą powitał ją pies ogromny, łaszący się wesoło i życzliwie, widocznie odgrywający tu rolę stróża i strażnika. Prawdopodobnie nie właściciel starego, opuszczonego domostwa pozostawił go tam, tylko ten, który oddawna przemyśliwał nad wszelkimi środkami, doprowadzić go mającymi do upragnionego celu, starając się jednak, aby te środki nosiły na sobie pozory delikatności i dobroci.

X.

Wspomnienia.

Korf, chociaż teraz pewny, że matka nie spotka się z Zofią, pozostał przecież na przełęczy. Usiadł na odłamie skały, wyrastającym ze skalistego grzbietu i zamyślił się głęboko.

Mimowoli przypomniał sobie całą swoją przeszłość: lata dziecińśtwa i pierwszej młodości... wszystko, co sam kiedykolwiek doznał, spełnił, widział i odczuł, a również to, czego nie mógł widzieć i odczuć, a co opowiedziała mu Rutkowska. Wysiłkiem woli wskrzesił w pamięci czasy, gdy jako malec złośliwy, gwałtowny, bezczelny i dziki przewodził bandzie bębnów-urwiszów i na jej czele szerzył postrach w pośród mieszkańców Castillon; gdy zuchwale zachowywał się z matką, a groźnie stawiał czoło ojcu, rzucając się na niego niekiedy, jak rozjuszony brytan, spuszczony z łańcucha.

W domu niepodobna było dać sobie z nim rady; hardy i gwałtowny, lekceważący rodziców i sąsiadów, nie dał się poskromić nikomu. W dwunastym roku życia zapisano go jako chłopca okrętowego do marynarki handlowej. Zdawało się, że sam tego pragnie, bo awanturniczy jego umysł pożądał przygód nadzwyczajnych i niepowszednich przedsięwzięć, więc może w starciu z rzeczywistością utemperuje się i uspokoi. Zawiódł jednak pokładane w nim nadzieje. Do lat ośmnastu pędził hulaszcze, rozpustne i niemal rozbójnicze życie na różnych pokładach i we wszystkich portach morza Śródziemnego, Adryatyckiego i Czarnego, tak w Europie jak w Afryce i Azyi Mniejszej. Czego on wówczas nie nabroił! Czego nie użył i nie nadużył!

Z chwil owych jedno szczególnie wspomnienie przejęło go zimnym dreszczem...

(Ciąg dalszy nastąpi).

Minister na wystawie jarosławskiej.

Wystawa przemysłowo-rolnicza w Jarosławiu gościła w ubiegłym tygodniu wśród zwiedzających także ministra Galicyi, JE. Dawida Abrahamowicza. Jadąc z Wiednia do Lwowa celem wzięcia udziału w obradach Sejmu krajowego, zatrzymał się minister Abrahamowicz w Jarosławiu, by zwiedzić interesującą wystawę tamtejszą.

Niezwykłego gościa powitał u bram wystawy komitet, wyrażając przez usta swego przedstawiciela radość z powodu zaszczytnych odwiedzin oraz nadzieję, że jak dotychczas, tak i nadal będzie miał galicyjski przemysł i rolnictwo w ministrze-rodaku gorliwego orędownika.

Następnie oglądał minister Abrahamowicz bardzo szczegółowo wszystkie prawie pawilony, a objaśnień udzielali mu członkowie komitetu wystawy oraz niektórzy wystawcy. Towarzyszył ministrowi w zwiedzaniu wystawy dyrektor kolei we Lwowie, radca dworu Rybicki oraz grono urzędników z Jarosławia ze starostą na czele.

Piękna wystawa jarosławska podobała się bardzo panu ministrowi, który z widocznem zadowoleniem i nie tając uznania, wyrażał się o postępach przemysłu i rolnictwa w naszym kraju.

Zjazd Ligi przemysłowej.

Młoda, ale coraz potężniejsze kręgi zataczająca instytucya „Ligi pomocy przemysłowej“ odbyła w połowie września b. r. walny zjazd swych członków w Jarosławiu, z okazyi odbywającej się tam wystawy przemysłowo-rolniczej.

Zjazd wypadł wprost wspaniale i imponująco, zarówno z powodu powagi i doniosłości obrad, jak z powodu licznego udziału delegatów, których w tym roku przybyło około 300, jak wreszcie z powodu obecności całego szeregu wybitnych osób. Przybył więc prezes Koła polskiego w Wiedniu, dr. Stanisław Głąbiński, wielu posłów, dalej reprezentanci rządu, szef sekcyi Schonka i wicesekretarz Pawluszkiewicz z ministeryum kolejowego, radca sekcyjny dr. Waygart z ministeryum robót publicznych, radca sekcyjny dr. Szarski z ministeryum skarbu, radca rządu dr. Grunzl z ministeryum handlu, wreszcie inż. Till z urzędu popierania przemysłu. Ponadto przybyło sporo delegatów i przedstawicieli rozmaitych stowarzyszeń i instytucyi nawet zakrajowych, między tymi prezes stowarzyszenia morawskich rękodzielników p. Faust.

Zjazd rozpoczęto uroczystem nabożeństwem w kościele farnym, po którem uczestnicy i delegaci zebrali się na obrady. Zagaił je prezes Ligi ks. Andrzej Lubomirski, witając serdecznie przybyłych gości. Następnie przemawiali kolejno przedstawiciele rozmaitych instytucyi, poczem przystąpiono do merytorycznych obrad. Po wspólnym obiedzie, do którego zasiadło około 250 osób, obradowały sekcye, następnego dnia zaś toczyły się w dalszym ciągu obrady plenarne.

Rezultatem dwudniowego zjazdu jest szereg uchwał i rezolucyi, wśród których pierwsze miejsce zajmuje sprawa bojkotu pruskich towarów.

Omawiano także sprawozdanie dyrekcyi z czynności w roku ubiegłym. Sprawozdanie to wykazało ogromny postęp i rozwój instytucyi na wszystkich polach jej działalności, zostało też przyjęte z uznaniem przez uczestników zjazdu. Finansowe stosunki Ligi pomocy przemysłowej są też zupełnie zadawalniające, czego dowodem nabycie na własność kamienicy przy ul. Chorążczyzny we Lwowie.



Minister na wystawie jarosławskiej: Minister Galicyi J. E. Dawid Abrahamowicz (X) przed pawilonem hr. Tyszkiewiczów.

Umizgi Menelika do Francyi.

Potężny kawał północno-wschodniego wybrzeża stałego lądu afrykańskiego zajmuje Abisynia (dawna Etyopia), gdzie na tronie zasiada negus Menelik. Nie tak to dawno, jak cały świat mówił o Abisynii z okazyi klęski Włochów pod Aduą. Od tego czasu mało zajmowano się tym krajem, choć Menelik z sympatyą odnosi się do Europy, a na dowód swych uczuć przesłał przed kilku miesiącami papieżowi dwa oswojone lwy, które wracający do Europy misyonarze szczęśliwie dostawili na miejsce przeznaczenia.

Abisynia jest krajem chrześcijańskim, w sprawach duchownych podległym patryarsze koptyjskiemu.

Szczególniejszą sympatyę żywi „król królów“ dla Francyi. Gdy w dniu 14 lipca b. r. obchodziła kolonia francuska święto narodowe, z odległej Abisynii wysłał Menelik specyalnego posła w osobie Heile Gorghisa, ministra handlu i spraw zagranicznych, który w imieniu swego władcy oświadczył reprezentantowi Francyi p. M. Brice wyrazy sympatyi i przyjaźni, oraz wręczył dary: dwa tuczne woły, dziesięć miodowych dzbanów i cztery kosze owoców.

Ponieważ urządzenia pocztowe abisyńskie pozostawiają wiele do życzenia, starała się już od dawna kolonia francuska o zaprowadzenie komunikacyi pocztowej na wzór europejski. Główne zasługi koło otwarcia francuskiego urzędu pocztowego położył szef urzędu pocztowego w Dżibuti M. Roques, a starania jego poparł rodak nasz, były rezydent francuski Kłobukowski. W dniu 1 sierpnia otwarto też w Addis-Ababa francuski urząd pocztowo-telegraficzny i telefoniczny w budynku, ofiarowanym na ten cel przez rząd abisyński. Na uroczystość otwarcia przybył Menelik osobiście w otoczeniu licznego dworu i oprowadzany przez obecnego rezydenta francuskiego, p. Brice, zwiedził dokładnie wszystkie urządzenia, których znaczenie tłómaczył mu p. Brice. Wizyta negusa trwała przeszło godzinę. Na odchodnem zainaugurował Menelik urzędowanie nowej poczty, nadając pierwszą depeszę do prezydenta rzeczypospolitej francuskiej z wyrazami przyjaźni i sympatyi.



Zjazd Ligi przemysłowej: Grono uczestników zjazdu z prezesem Andrzejem ks. Lubomirskim (X) w pośrodku. Obok niego na lewo prezes Koła polskiego dr. Głąbiński.



Umizgi Menelika do Francyi: Najświeższy portret negusa Menelika.

Zgon znakomitego muzyka.

W dniu 21 września br. zmarł w Biarritz jeden z najlepszych skrzypków Pablo de Sarasate. Artysta urodził się w r. 1844 w Pampelunie w Hiszpanii i już jako sześcioletni chłopiec wystąpił pierwszy raz publicznie. Licząc lat 10 popisywał się przed dworem królewskim i wzbudził taki entuzyazm, że królowa Izabella nietylko ofiarowała mu starożytne skrzypce Stradivariusa, ale poleciła nadto uwolnić jego ojca, byłego oficera armii hiszpańskiej, uwięzionego z powodu politycznej natury. Mały Pablo pobierał nauki w Madrycie, następnie kształcił się w muzyce w Paryżu, gdzie odznaczony został pierwszą nagrodą. Od roku 1866 przedsiębrał podróże artystyczne po całej Europie i Ameryce, budząc wszędzie niekłamany podziw swą mistrzowską grą. Mimo ciągłych występów, przed każdym koncertem miał zwykle „tremę“.

Stałem miejscem jego zamieszkania był Paryż, gdzie przy bulwarze Malesherbes zajmował samotne, pięknie urządzone mieszkanie. Wieczorami lubił przesiadywać w domu. Prócz skrzypiec grywał na fortepianie i wiolonczeli. Raz do roku bawił w rodzinnem mieście Pampelunie, gdzie przyjmowano go owacyjnie. Pobyt ten przypadał zwykle na czas dorocznego jarmarku. Sarasate, wywoływany na balkon, wyjmował skrzypce i grał rodakom tańce hiszpańskie w swym znanym układzie. Największy entuzyazm budził słynny taniec: „Zapateado“.

Gra zmarłego artysty odznaczała się nadzwyczajną miękkością a zarazem doniosłością tonów, oraz niezrównaną techniką. Święcił też niebywałe tryumfy po całym świecie i otrzymał liczne odznaczenia od prawie wszystkich monarchów europejskich.

Jako człowiek odznaczał się wielką dobroczynnością. Lubował sie namiętnie w błyskotkach; prócz łańcuszków i breloków lubił zbierać laski i posiadał ich wspaniałą kolekcyę. Wszystkie są z kosztownego drzewa i mają gałki lub rączki kryształowe, złote lub srebrne, wysadzane drogimi kamieniami. Królowa hiszpańska, znając jego manię, obdarzyła go niedawno laską z malachitu, wysadzaną brylantami i szmaragdami.

Zbiorniki ropy.

Kwestya przesilenia w galicyjskim przemyśle naftowym, spowodowanego hyperprodukcyą ropy, nie przestaje interesować najszerszych kół społeczeństwa. Jest to bowiem istotnie kwestya wielkiej doniosłości.

Wiadomo, iż wskutek nadmiaru produkcyi ropy, a niemożliwości zamagazynowania olbrzymich mas tego surowca, cena jego spadła do niesłychanie nizkiej, wprost śmiesznej sumy 70 hal. za 100 kg., co oczywista nie pokrywa nawet kosztów produkcyi.

Wobec tych stosunków poczęli się producenci zastanawiać nad sposobami przechowywania ropy w jakichś olbrzymich zbiornikach, aby nie było potrzeby sprzedawania jej po tak niskiej cenie.

W tym kierunku przyszły producentom z pomocą niektóre firmy, podając projekt wybudowania olbrzymich zbiorników ziemnych. Zbiorniki takie, o pojemności 1000 wagonów, są stosunkowo bardzo tanie i mają tę jeszcze zaletę, że dadzą się wystawić w przeciągu kilku tygodni.

Już dziś buduje się ich w Borysławiu i Tustanowicach kilkanaście. Sam „Związek producentów ropy“ uzyska przed zimą w tego rodzaju zbiornikach miejsce na zamagazynowanie 30.000 wagonów ropy.



Zgon znakomitego muzyka: Śp. Pablo de Sarasate.

Najwięcej takich zbiorników buduje obecnie firma inżynierów Wlchańskiego, Mierzejewskiego i Buszyńskiego. Załączone przez nas dziś illustracye przedstawiają właśnie roboty tej firmy około podziemnych zbiorników. Widać dokładnie postępy pracy. Zbiorniki mają długości 60 m., szerokości 40 m., a głębokie są na 5 m. Wewnątrz są całe oszalowane deskami, mają też drewniane podłogi i specyalnie obmyśloną konstrukcyę dachową. Po wykończeniu, istnienie ich zdradzać będą tylko wentylatory i drzwi, umożliwiające zejście na dno po drabinach, zresztą zaś wszystko pokryte ziemią i darniami.

Konstrukcya tych zbiorników i sposób ich stawiania, wywołały duże zainteresowanie wśród sfer fachowych, a także zagraniczni producenci zainteresowali się niemi.

Z tego też powodu zamieszczamy w dzisiejszym numerze *Nowości Illustrowanych* dwa zdjęcia fotograficzne, odnoszące się do zbiorników ropy. Jedno z nich przedstawia wnętrze zbiornika podziemnego, drugie zaś daje obraz ogólny zbiornika ropy, tak jak on się przedstawia patrzącym z powierzchni ziemi.



Umizgi Menelika do Francyi: Negus Menelik opuszcza francuski urząd pocztowy w Addis-Ababa po uroczystości otwarcia.

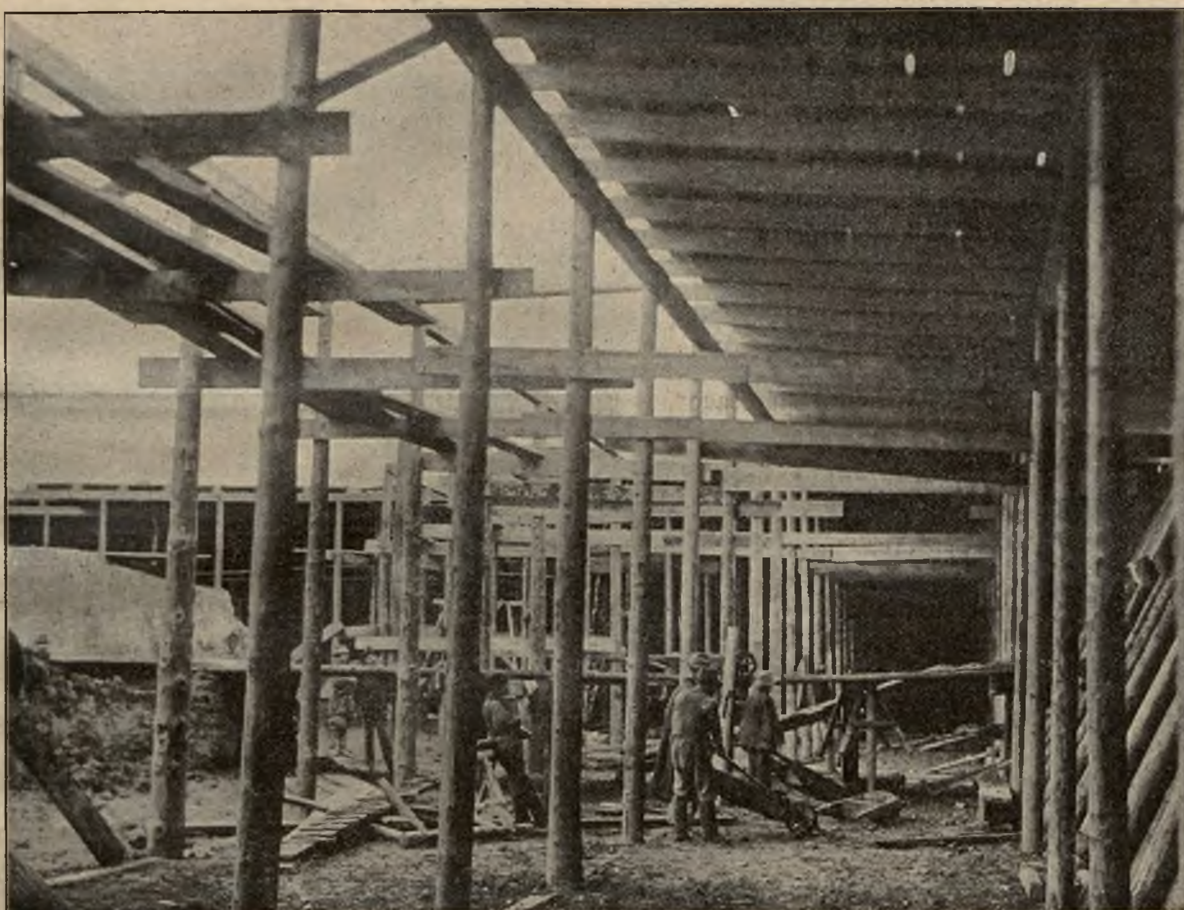
Międzyparlamentarna konferencya pokojowa.

W czasach, kiedy ciągle słyszymy o zbrojeniu się mocarstw i ustawicznem żądaniu kredytów to na flotę, to na nowe działa lub balony, śmiesznemi wydają się obrady konferencyi, szumnie nazwanej międzyparlamentarną... konferencyą pokojową. — Wprawdzie konferencya powziąć może i powinna nawet różne doniosłe uchwały — cóż one jednak znaczą wobec tak zwanych względów „wyższej polityki“? Są poprostu utopią, mrzonką!

XV. międzyparlamentarna konferencya pokojowa obradowała obecnie w Berlinie w sali posiedzeń sejmu Rzeszy. Obesłały ją wszystkie mocarstwa europejskie i niektóre zamorskie. W dniu 17. września b. r. zagajono obrady wobec ks. Bülowa i wszystkich pruskich ministrów i jednogłośnie obrano ks. Schönaicha-Karolath prezydentem. W imieniu cesarza powitał zgromadzonych książe Bülow i wygłosił piękną, pełną frazesów mowę w języku francuskim, w której stwierdził z uznaniem, że praca członków konferencyi coraz większe osiąga sukcesy.

W ciągu obrad przyjęto szereg rezolucyi, mających na celu utrzymanie pokoju światowego, jak również zajmowano się sprawami, które będą przedłożone III. konferencyi w Hadze, mającej być zwołaną przez cesarza rosyjskiego celem uregulowania międzynarodowego prawa.

Z pomiędzy austro-węgierskich polityków brali udział w konferencyi bar. Plener i hr. Apponyi, z Polaków obecnym był W. Gniewosz, który jednak nie dotrwał do końca, aby uniknąć defilowania przed pomnikiem Bismarcka i przyjęcia u dworu



Zbiorniki ropy. Widok wnętrza podziemnego zbiornika ropy w Tustanowicach.



Po katastrofie Parsevala: Major Gross, komendant niemieckiego oddziału aeronautycznego.



Zbiorniki ropy: Widok ogólny jednego ze zbiorników ropy w Tustanowicach.

Uczestnicy konferencyi wysłali telegram hołdowniczy do cesarza Wilhelma, który też zaraz odpowiedział, życząc jak najobfitszych plonów obrad, których przebieg sam, jako największy propagator pokoju, śledzi z baczną uwagą. Urządzono też szereg uroczystych przyjęć, z których najważniejszemi były: przyjęcie u kanclerza i na dworze cesarskim, gdzie, pod nieobecność ojca, pełnił rolę gospodarza następca tronu niemieckiego. Co do następnej konferencyi, polecono lordowi Venrdale, by porozumiał się z rządem kanadyjskim w kwestyi zwołania jej w r. 1909 do Kanady. Nadeszło także zaproszenie z Rzymu na r. 1911. Definitywne ustalenie roku i miejsca następnej konferencyi zastrzegła sobie Rada naczelna.



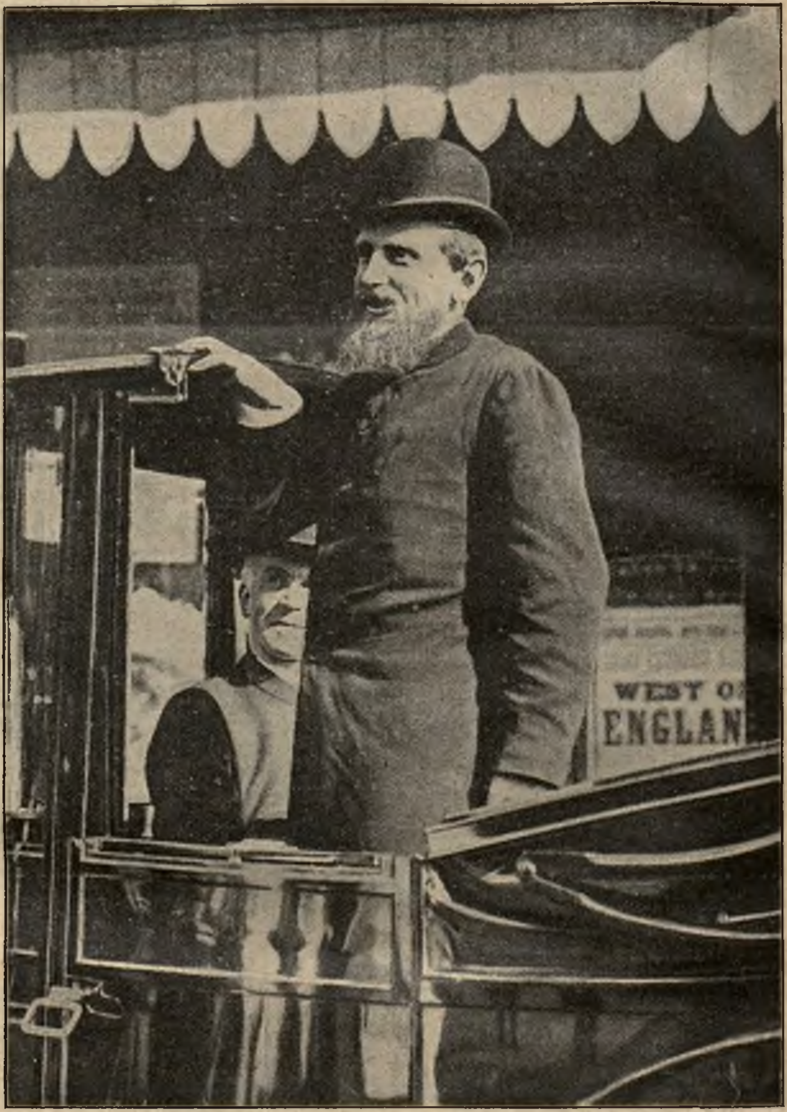
Zniszczenie domu Kapuletów: Ulica wraz ze spalonym domem w Weronie.

Kongres eucharystyczny w Londynie.

W drugiej połowie września odbył się w Londynie kongres eucharystyczny, na który przybyli uczestnicy ze wszystkich stron świata w liczbie około ośmiu tysięcy. Między przybyłymi znajdowało się 7 kardynałów, 15 arcybiskupów, 70 biskupów, wielu prałatów i opatów. Papieża reprezentował legat, kardynał Vanutelli, któremu angielscy katolicy urządzili wspaniałe przyjęcie.

Uroczyste otwarcie kongresu eucharystycznego odbyło się wieczorem w katedrze westminsterskiej odczytaniem listu Ojca św., poczem kardynał Vanutelli świetną przemową, wygłoszoną w języku łacińskim, powitał zebranych, życząc w serdecznych słowach, aby wiara i miłość zjednoczyły całą Wielką Brytanię, do czego przyczyni się może obecny kongres, odbywający się na cześć Sakramentu, który jest znakiem jedności i miłości całej społeczności katolickiej. Właściwe obrady poprzedziło następnego dnia uroczyste nabożeństwo, które odprawił arcybiskup Paryża. Następnie rozpoczęły się obrady w sekcyach, na które podzielili się zgromadzeni, w dwu angielskich i jednej francuskiej.

Protestanci angielscy wysilali się, aby zakłócić poważny nastrój uroczystości, wysiłki ich spełzły jednak na niczem. Starano się urządzić kontrdemonstracyę i uzyskać zakaz odbycia procesyi publicznej dokoła katedry westminsterskiej — wystąpienie to spotkało się jednak z krytyką nawet umiarkowanej prasy protestanckiej, nie chcącej pozwolić, aby opinia o znanej tolerancyi i gościnności angielskiej przez to wystąpienie narażoną być mogła na szwank. Policya przedsięwzięła wszelkie możliwe środki ostrożności, aby uchronić katolików od napaści, okazało się to jednak najzupełniej zbytecznem.



Kongres eucharystyczny w Londynie: Ksiadz książe Maksymilian Saski.

Kongres zakończył się w niedzielę uroczystem błogosławieństwem, jakiego zgromadzonym wielotysięcznym rzeszom udzielił kardynał Vanutelli z zewnętrznego ganku katedry westminsterskiej.

W obradach kongresu wziął także udział ksiądz ks. Maksymilian saski, brat obecnego króla Jerzego, profesor prawa kanonicznego na uniwersytecie we Fryburgu.

Podajemy w dzisiejszym numerze jego podobiznę, która tembardziej powinna zająć naszych Czytelników, iż — jak wiadomo — był czas, gdy księcia Maksymiliana uważano za najpoważniejszego kandydata na osieroconą katedrę gnieźnieńsko-poznańską.



Międzynarodowa konferencya pokojowa: Uczestnicy konferencyi podczas przyjęcia u ks. Bülowa.



Po katastrofie Parsevala: Major Parseval.

Włamywacz Gentleman.

PRZYGODY ZBRODNIARZA.

przez Maurycego Leblanc.

10 (Ciąg dalszy).

Wyraz przykrego wzruszenia przebiegł mu po twarzy i mimowoli wyrwał mu się szept:

— Stefan Varin.

— Pan go zna?

— Nie... lub raczej tak... z widzenia tylko. Brat jego...

— Ma brata?

— Tak, Alfred Varin. Kiedyś brat jego przychodził mi winszować, już nie pamiętam z jakiego powodu.

— Gdzie on mieszka?

— Bracia mieszkali razem... przy ulicy de Provence, zdaje się.

— I nie przypuszczasz pan z jakiej przyczyny ten się zabił?

— Na żaden sposób.

— Jednak ta karta, którą trzymał w ręku? Pańska karta z pańskim adresem!

— Nic nie rozumiem! Zapewne tylko wypadkowo... śledztwo nam wykryje.

Wypadek w każdym razie bardzo ciekawy — pomyślałem sobie i czułem, że wszyscy inni mają to samo na myśli.

Opinię tę odnalazłem nazajutrz w dziennikach i także u wszystkich moich znajomych, z którymi tylko rozmawiałem o całem zajściu. Wśród tych tajemnic tak zawikłanych, wobec tego dwukrotnego powtórzenia zdumiewającego siódemek czerwiennych, siedmkroć przebitych, po tych obu zagadkowych wypadkach, które zawsze w mojem mieszkaniu miały się wydarzyć — ów bilet wizytowy, mógł nakoniec rzucić jakieś światło; przez niego można byłoby dojść prawdy.

Jednak wbrew przewidywaniom pan Andermatt nie dostarczył żadnego wyjaśnienia.

— Powiedziałem, co widziałem, czego chcą więcej odemnie? — powtarzał. — Sam jestem ogromnie zdziwiony tą kartą i czekam tylko tak, jak i wszyscy, że śledztwo sprawę tę zupełnie wyjaśni.

Nie wyjaśniło. Stwierdzono tylko, że bracia Varin, Szwajcarzy z pochodzenia, przyjmując rozmaite nazwiska, prowadzili życie bardzo ruchliwe, uczęszczali do domów gry, utrzymywali stosunki z całą bandą obcokrajowców, którą policya miała na oku, a która po całym szeregu rabunków rozproszyła się po świecie. Przy ulicy de Provence pod nr. 24, gdzie Varinowie rzeczywiście niegdyś mieszkali przez sześć lat, obecnie nic o nich nie wiedziano.

Co do mnie, wyznaję, że sprawa wydawała mi się tak zawikłaną, że nie wierzyłem w możność jej rozwiązania, więc starałem się nie myśleć o niej wcale. Ale Jan Daspry, z którym w tym czasie dość często się widywałem, przeciwnie z każdym dniem coraz bardziej do niej się roznamiętniał.

On to właśnie wskazał mi to echo zagranicznego dziennika, które cała prasa powtarzała i komentowała:

„W obecności cesarza, w miejscowości, której tajemnica strzeżoną będzie do ostatniej chwili, odbędą się pierwsze próby podmorskiego statku, który ma przeistoczyć do gruntu warunki przyszłej wojny morskiej. Pewna niedyskrecya odsłoniła nam imię statku: „Siódemka kierowa“.

Siódemka kierowa! Byłże to zbieg nazwisk przypadkowy? czy raczej należy widzieć pewien związek między imieniem statku a wypadkami, o których opowiadaliśmy? Związek jakiej natury? To, co stało się tutaj, nie mogło w żaden sposób tyczyć się tego, co tam się działo.

— Co pan wiesz? — zaprzeczył mi Daspry. Najbardziej różne skutki pochodzą często z jednej przyczyny.

Nazajutrz drugie echo przypłynęło do nas.

Przypuszczając, że plany „Siódemki kierowej“ podwodnego statku, którego próby odbędą się niezwłocznie, zostały wykonane przez inżynierów francuskich. Inżynierowie ci, napróżno szukając poparcia u współrodaków, zwrócili się następnie bez większego skutku do admiralicyi angielskiej. Podajemy tę wiadomość z zastrzeżeniem“.

Nie śmiem obstawać przy faktach natury zbyt drażliwej, a które, jak to pamiętamy wszyscy, wywołały wielkie w społeczeństwie wrażenie. Ponieważ wszakże niebezpieczeństwo dalszych powikłań jest stanowczo usunięte, nie mogę nie przytoczyć artykułu z *Echo de France*, który wówczas sprawił tyle hałasu, a na sprawę Siódemki kierowej, jak ją nazywano — rzucił pewne światło... dość mętne.

Oto w całości ten artykuł, podpisany nazwiskiem: Salvator.

„Sprawa Siódemki kierowej. Uchylony róg zasłony.

„Będziemy treściwi. Dziesięć lat temu, młody inżynier górniczy, Ludwik Lacombe, pałając żądzą poświęcenia czasu swego i mienia umiłowanej przez się nauce, wziął dymisyę i wynajął pod numerem 102 przy bulwarze Maillot mały domek, który uprzednio pewien włoski hrabia kazał odnowić i umeblować. Za pośrednictwem dwóch braci Varin, Lozańczyków, z których jeden pomagał mu w doświadczeniach, jako preparator, a drugi wyszukiwał spólników, wszedł w stosunki z Jerzym Andermatt, który świeżo właśnie założył Biuro Metalowe.

„Po kilkakrotnem widzeniu się pan Lacombe zdołał zjednać bankiera dla sprawy podwodnego statku, nad którym właśnie pracował. Stanęła między nimi umowa, która orzekła, że z chwilą zupełnego wykończenia statku pan Andermatt ma użyć swoich wpływów u ministra marynarki na uzyskanie pozwolenia dla całego szeregu prób ze statkiem.

„W przeciągu dwóch lat Ludwik Lacombe odwiedzał często bankiera i nieraz mu przynosił projekty ulepszenia swego wynalazku; wreszcie znalazłszy poszukiwane ostatnie słowo rozwiązania, zadowolony zupełnie ze swej pracy, poprosił pana Andermatta, aby przystąpił do działania.

„Dnia tego Ludwik Lacombe był na obiedzie u państwa Andermatt. Wyszedł od nich wieczorem, o wpół do dwunastej.

„Odtąd już go nie widziano.

„Przerzucając ówczesne dzienniki, można się przekonać, że rodzina wynalazcy zwróciła się do policyi z żądaniem wdania się w tę sprawę i władze sądowe zaniepokoiły się. Ale do niczego to nie doprowadziło i z czasem ustaliło się przekonanie, że Lacombe, który uchodził zawsze za młodzieńca fantastycznego i oryginalnego, nie uprzedziwszy nikogo, wyjechał gdzieś w podróż.

„Ale, chociażby przyjąć tę hypotezę... nieprawdopodobną, zostanie pytanie, bardzo ważne dla naszego kraju: cóż stało się z planami podwodnego statku? Czy je Lacombe z sobą zabrał? Czy zostały zniszczone?

„Nader staranne śledztwo, które wkrótce przeprowadzonem zostało, dowiodło, że plany istnieją. Bracia Varin mieli je w swych rękach. Jakim sposobem? Nie wiemy tego jeszcze, jak również nie wiemy, dlaczego raczej nie starali się ich sprzedać. Czy obawiali się, aby nie dochodzono, skąd przyszli do ich posiadania? W każdym razie obawa ta nie była zbyt silną i możemy obecnie z całą stanowczością twierdzić, że plany Ludwika Lacombe stały się własnością obcego mocarstwa i nawet jesteśmy w możności ogłosić korespondencyę, wymienioną z tego powodu między braćmi Varin a przedstawicielem rzeczonego państwa. Obecnie „Siódemka kierowa“, wynalazek Ludwika Lacombe, została wyzyskana i wykonana przez naszych sąsiadów.

„Czy rzeczywistość odpowie optymistycznym nadziejom tych, którzy wyzyskali zdradę? Mamy dane oczekiwać czegoś przeciwnego i chciejmy wierzyć, przyszłość nas nie zawiedzie“.

Post-scriptum mówiło jeszcze:

„Z ostatniej chwili. — Spodziewaliśmy się słusznie. Nasze wywiady prywatne dają nam możność podać do wiadomości, że próby z „Siódemką kierową“ okazały się niezadowalniającemi. Jest prawdopodobnem, że w planach, wydanych przez braci Varin brakło ostatniego dokumentu, który Ludwik Lacombe zabrał może panu Andermattowi w wieczór swego zniknięcia; dokument ten jest niezbędnym do zrozumienia całego projektu, jest rodzajem zsumowania, w którem znadują się wnioski ostateczne, obliczenia i wskazówki, zawarte w innych papierach. Bez tego dokumentu plany nie posiadają ostatecznego wykończenia; zarówno jak bez planów dokument jest nieużyteczny.

„Lecz jeszcze jest czas działać i odebrać, co do nas należy. Do spełnienia tego zadania, nader trudnego, liczymy na współudział pana Andermatta. Zapewne leży mu na sercu wytłumaczyć to niepojęte stanowisko, jakie zachowywał od samego początku. Pan Andermatt powie nam nietylko dlaczego nie wyjaśnił wszystkiego, co dotyczy samobójstwa Stefana Varin, ale także dlaczego nigdy nie powiedział o zniknięciu papierów, o czem wiedział najlepiej. Powie nam jeszcze, dlaczego od lat sześciu opłacał agentów, aby czuwali nad braćmi Varin.

„Oczekujemy z jego strony już nie słów, lecz czynów. W przeciwnym razie...“

Groźba była brutalną. Lecz na czem się opierała? Jaki sposób zastraszenia pana Andermatta posiadać mógł Salvator, autor... anonimowy artykułu?

Chmara reporterów oblegała bankiera, a w dziesiątkach interwiewów odbiła się wzgarda, jaką bankier odpowiedział na tę napaść we własnem swem mieszkaniu. Na to znów korespondent *Echo de France* dał odpowiedź w trzech wierszach:

„Pan Andermatt, z wolą swoją lub bez woli, staje się od tej chwili naszym współpracownikiem w sprawie, do której przystępujemy“.

* * *

W dniu, kiedy pojawiła się ta replika, obiadowałem razem z Daspry'm. Wieczorem zaś, rozłożywszy na stole dzienniki, dyskutowaliśmy nad tą sprawą, roztrząsaliśmy ją wszechstronnie, nie bez pewnego rozdrażnienia, jeśli krążyć bezustanku w ciemności i potykać się zawsze o jedne i te same przeszkody.

Naraz bez dzwonienia, bez oznajmienia służącego drzwi sali otwarły się i weszła jakaś pani, osłonięta gęstym woalem.

Porwałem się z krzesła i zbliżyłem się do niej.

— Czy to pan tu mieszka? — zapytała.

— Tak pani; ale wyznać muszę, że...

— Krata ogrodowa nie była zamknięta — objaśniła.

— Ale drzwi w przedpokoju?

Nie odpowiedziała, a ja pomyślałem, że musiała wejść przez schody kuchenne. Znała więc drogę?

Nastała chwila przykrego zakłopotania. Spojrzała na Daspry'ego. Mimowolnie, jakbym to zrobił w salonie, przedstawiłem go jej. Poczem poprosiłem usiąść i wyjaśnić cel przyjścia.

Podniosła woal i spostrzegłem, że jest brunetką, o rysach regularnych i jeśli nie piękną bardzo, to przynajmniej nieskończonego wdzięku, do czego przedewszystkiem przyczyniały się oczy, poważne i smutne.

Rzekła tylko:

— Jestem panią Andermatt.

— Pani Andermatt! — powtórzyłem coraz bardziej zdziwiony.

Nowe milczenie. Po chwili głosem równym najspokojniej w świecie wyrzekła:

— Przychodzę w tej sprawie... pan wiesz. Myślałam, że może od pana mogłabym zasięgnąć jakichś wiadomości.

— Niestety, nie wiem nic ponad to, co się pisze w dziennikach. Zechciej pani wyszczególnić, w czem mianowicie mógłbym służyć?

— Nie wiem... nic nie wiem...

Teraz dopiero przeczułem, że spokój jej jest robionym i że pod pozorem zupełnej pewności siebie taiła się ogromna trwoga. I zamilkliśmy, zakłopotani zarówno oboje. Ale tu Daspry, który nie przestawał ją obserwować, zbliżył się do niej i rzekł:

— Czy pozwoli mi pani zadać sobie kilka pytań?

— O, tak! — zawołała — łatwiej mi będzie mówić.

— I pani odpowie... jakiekolwiek będą te pytania?

— Odpowiem.

Pomyślał chwilę i rzekł:

— Czy pani znała Ludwika Lacombe?

— Tak, znałam go, przez męża.

— Kiedy go pani widziała raz ostatni?

— Tego wieczora, jak był u nas na obiedzie.

— Czy tego wieczora nie nasunęła się pani myśl, że go już pani nie zobaczy?

— Wcale nie. Wspominał wprawdzie o podróży swej do Rosyi, ale czynił to tylko nawiasowo.

— Więc pani przypuszczała, że go zobaczy jeszcze?

— O tak; nazajutrz przy obiedzie.
— Jak pani tłumaczy to zniknięcie?
— Nie mogę go wytłumaczyć.
— A pan Andermatt?
— Tego nie wiem.
— Wszakże...
— Niech mię pan o to nie pyta.
— Artykuł *Echo de France* zdaje się przypuszczać...
— Zdaje się przypuszczać, że bracia Varin nie są tu bezczynni.
— Czy i pani tak sądzi?
— Tak.
— Na czem pani opiera to przypuszczenie?
— Wychodząc od nas Ludwik Lacombe w jednym pakiecie miał zawinięte wszystkie papiery, odnoszące się do jego wynalazku. We dwa dni potem między mężem moim a jednym z braci Varin, tym, który żyje, zaszła rozmowa, w której mąż mój nabył przekonania, że papiery te znajdują się w rękach Varinów.
— I nie dał znać policyi?
— Nie.
— Dlaczego?
— Bo w pakiecie znajdowało się jeszcze coś więcej, niż papiery Lacomba.
— Co takiego?
Zawahała się, chciała już odpowiedzieć, potem ostatecznie zamilkła. Daspry mówił dalej:
— Więc oto dlaczego mąż pani, zamiast zawiadomić policyę, sam śledził obu braci. Miał nadzieję odebrać razem i papiery i tę rzecz... kompromitującą, zapomocą której bracia dopuszczali się nad nim rodzaju szantażu...
— Nad nim... i nademną.
— Ach i nad panią?
— Głównie nademną.
Głosem głuchym wyrzeźbiła te dwa słowa.
Daspry przyglądał się jej bacznie, oddalił się i znów wracając, spytał:
— Pisała pani do Lacombe'a?
— Tak... mąż mój miał z nim stosunki...
— Czy poza listami oficyalnymi nie pisała pani do Lacombe'a... listów innych? Proszę wybaczyć moje natręctwo, ale muszę koniecznie wiedzieć całą prawdę. Pisała pani inne listy?
Cała w rumieńcach szepnęła:
— Tak.
— I to te listy posiadali bracia Varin?
— Tak.
— Więc pan Andermatt wie o tem?
— Nie widział ich, ale Alfred Varin doniósł, grożąc opublikowaniem ich, jeśli mąż mój wystąpi przeciw niemu. Mąż mój obawiał się... cofnął się przed skandalem.
— I tylko czynił wszystko, aby wydrzeć mu z rąk listy?
— Czynił wszystko, co mógł, przynajmniej tak przypuszczam, ponieważ od owej ostatniej rozmowy z Alfredem Varin i po kilku słowach zamienionych ze mną, bardzo gwałtownych, w których wyjaśnił mi rzecz całą, między mną i mężem znikła wszelka ufność, wszelkie zbliżenie. Jesteśmy z sobą jak obcy.
— W takim razie niema pani nic do stracenia, czegoż się zatem pani obawia?
— Jakkolwiek się stałam mężowi obojętną, jednak... kochał mię niegdyś... i mógłby jeszcze kochać — och, jestem tego pewna! — szepnęła głosem płomiennym — mógłby mnie kochać, gdyby nie dostał do rąk tych przeklętych listów...
— Jakto, dostał do rąk? Wszakże bracia Varin nie chcieli mu ich wydać?
— Tak i przechwalali się nawet, że ukryli je w dobrej skrytce.
— A zatem?
— Jestem pewna, że mąż odnalazł tę skrytkę.
— Czy być może? gdzież się znajdowała?
— Tutaj.
Porwałem się z miejsca.
— Tutaj!
— Tak. Zawsze to podejrzywałam. Ludwik Lacombe, ogromnie zdolny, zapalony do mechaniki, w wolnych chwilach zabawiał się sporządzaniem skrzyneczek i zamków. Bracia Varin zapewne znaleźli jedną z takich skrzynek i użyli jej do przechowania listów... i także wiele innych rzeczy.
— Ale przecież tu nie mieszkali — zawołałem.
— Przed pańskiem przybyciem cztery miesiące domek ten stał pusty. Prawdopodobnie przychodzili tu; myśleli też pewno, że w chwili, kiedy będą potrzebowali zabrać stąd wszystkie papiery, obecność pana im nie zawadzi. Ale nie brali w rachubę mojego męża, który w noc z 22 na 23 czerwca otworzył skrytkę i zabrał... to, czego szukał; im zaś zostawił swoją kartę na znak, że role się zmieniły i już niema czego ich się obawiać. We dwa dni potem Stefan Varin, uwiadomiony pańskim artykułem z *Gil Blas'a*, wpadł do pana, pozostał sam w tym salonie, znalazł skrytkę pustą i... zabił się.
Po chwili Daspry zapytał:
— Jest to proste przypuszczenie, nieprawdaż? Pan Andermatt nic pani nie mówił?



— Czy pozwoli mi pani zadać sobie kilka pytań? rzekł Daspry.

— Nic.
— Czy zachowanie się jego względem pani nie zmieniło się potem? Nie wydał się pani pochmurniejszym, podejrzliwszym?
— Nie.
— I pani myśli, że nie zmieniłby się, odnalazłszy te listy! Jestem pewny, że ich niema. Jestem pewny, że nie on tu był.
— Więc któż inny?
— Ta osoba tajemnicza, która prowadzi całą sprawę, trzyma wszystkie jej nici i kieruje do celu, który my zaledwie dostrzegamy z pomiędzy mnóstwa komplikacyj, osoba tajemnicza, której rękę niewidzialną a przemożną czuje się od pierwszej chwili. On to i jego towarzysze wtargnęli tu 22 czerwca, on odkrył skrytkę, on pozostawił kartę pana Andermatta, on zatrzymał korespondencyę i dowody zdrady braci Varin.
— Kto on? — przerwałem nie bez niecierpliwości.
— Korespondent *Echo de France*, do dyabła, ten Salvator! Czy nie jest to jasne jak słońce? Czy nie przytacza w artykule swoim szczegółów, które może znać ten, kto posiadł tajemnice obu braci?
— W takim razie – wyjąkała pani Andermatt z przestrachem -- on również ma i moje listy i on z kolei grozi obecnie mojemu mężowi. Mój Boże! co począć teraz!
— Napisać do niego — oświadczył krótko Daspry — wprost zwierzyć się przed nim; opowiedzieć mu wszystko, co pani wie i co wiedzieć może.
— Co pan mówi!
— O to samo idzie pani, co i jemu. Bez wszelkiej wątpliwości działa on przeciw następcy obu braci. Nie przeciw panu Andermattowi broń podnosi, ale przeciw Alfredowi Varin. Proszę mu dopomódz.
— W jaki sposób?
— Czy mąż pani posiada ten dokument, który dokończa i czyni zdatnymi do użytku plany Ludwika Lacombe?
— Tak jest.
— Niech pani uprzedzi o tem Salvatora. W razie potrzeby proszę postarać się, aby mu dostarczyć ten dokument. Jednem słowem, proszę nawiązać z nim korespondencyę. Wszak nic pani nie ma do stracenia?
Projekt był śmiały, na pierwszy rzut oka może nawet niebezpieczny, ale dla pani Andermatt nie było wyboru. Zresztą, jak mówił Daspry, nic nie miała do stracenia. Jeśli nieznajomy był nieprzyjacielem, krok ten nie pogorszy sprawy; jeżeli ktoś obcy, mający cel swój własny, nie będzie przywiązywał wielkiej wagi do tych listów.
A w każdym razie była w tem jakaś myśl i pani Andermatt czuła się szczęśliwa, że w swem zamieszaniu mogła się jej uczepić. Podziękowała nam gorąco i obiecała dać znać o dalszym przebiegu sprawy.
Rzeczywiście nazajutrz przysłała otrzymaną odpowiedź: „Listów tu nie było, ale będę je miał, proszę być spokojną. Czuwam nad wszystkiem. S.“
Wziąłem kartkę do rąk. Tem pismem pisany był ów bilet, który znalazłem w książce w noc 22 czerwca. Daspry miał słuszność: Salvator był wielkim organizatorem całej tej sprawy.

* * *

Naprawdę zaczynaliśmy rozróżniać troszkę światła wśród ciemności, które nas otaczały, i nawet niektóre punkty oświetlały się jasnością zgoła nieoczekiwaną. Lecz za to inne jakież były ciemne, naprzykład to znalezienie dwóch siódemek kierowych! Co do mnie, to zawsze do nich myślą się zwracałem, zaciekawiony, może bardziej niż trzeba, temi dwiema kartami, w których siedm małych znaczków przedziurawionych wpadło mi w oczy wśród tak wstrząsających okoliczności. Co za rolę grały w tym dramacie? Jaką doniosłość można było im przypisywać? Jaki wniosek można było wyprowadzić z faktu, że statek podwodny Ludwika Lacombe nosił imię „Siódemki kierowej“?
Daspry ze swej strony mało troszczył się o te dwie karty; oddał się cały studyowaniu innej kwestyi, której rozwiązanie było według niego daleko pilniejszem: niezmęczenie poszukiwał sławnej owej skrytki.
— A kto wie — mówił — czy właśnie tam nie znajdę listów, których Salvator nie mógł znaleźć... przez nieuwagę może. Trudno wierzyć, aby Varinowie przenieśli z najbezpieczniejszego, według ich mniemania miejsca, broń, której znali wartość nieocenioną.
I nie przestawał szukać. Wkrótce wielka sala nie miała dla niego tajemnic, rozciągnął więc swoje badania na wszystkie części domu: badał go wewnętrznie i zewnętrznie, próbował kamieni i cegieł muru, podnosił nawet dachówki.
Jednego dnia przyszedł z rydlem i motyką; mnie dał rydel, sobie zostawił motykę i wskazując na grunt za domem, rzekł:
— Pójdźmy tam.
Poszedłem za nim bez wielkiej ochoty. Podzielił grunt na kilka części i zaczął kopać po kolei.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Pogrzeb wielkiego hetmana.

Kość moja, przez trzy wieki
Zmieszana z ziemią, z piaskiem,
Skroś te trumienne ćwieki
Roztlała życia blaskiem.
Przez śmierci zapowicia
Poczuła ciepło życia,
Poczuła drżenie żył...
Hetmańska kość wyniosła
Z prochów się dźwigła, zrosła,
Mogilny strząsa pył.
. . . .
Marya Konopnicka.

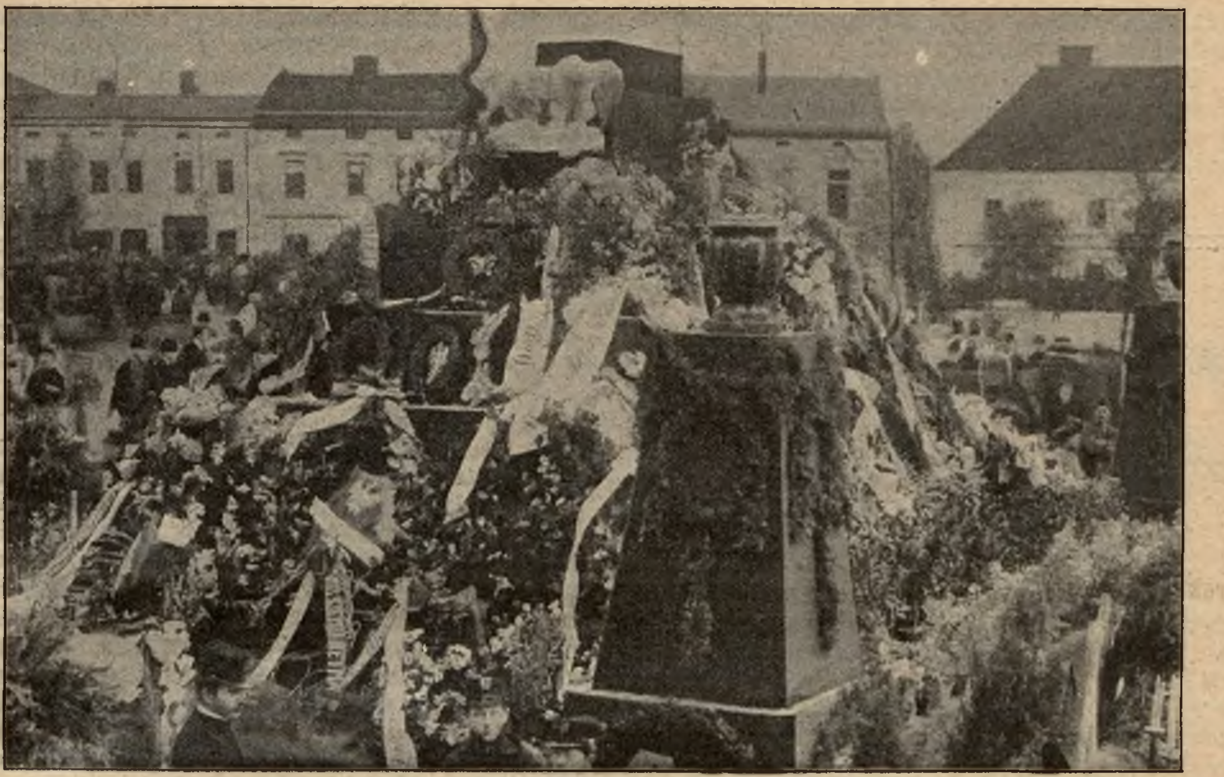
Przy udziale nieprzejrzanych, nieprzeliczonych tłumów, przejętych szlachetnem, patryotycznem uniesieniem, złożono we wtorek tego tygodnia na wieczny spoczynek śmiertelne a tak drogie polskiemu narodowi szczątki jednego z największych bohaterów naszych, Stanisława Żółkiewskiego. Przez trzy prawie wieki tułały się te szczątki w zaniedbaniu i opuszczeniu w krypcie farnego kościoła w Żółkwi. Złożono je tam bezpośrednio po bitwie cecorskiej, w której wielki hetman legł na polu sławy. A złożono sam tułów bez głowy, głowę tę bowiem Turcy zabrali do Konstantynopola, skąd dopiero po dwu latach wdowa po hetmanie ją wykupiła. Wówczas złożono i głowę w kościele farnym żółkiewskim, pod wielkim ołtarzem. Niedługo potem grobowiec z głową hetmana został splondrowany w świętokradzki sposób a mozaikowa urna, kryjąca głowę, dostała się do Puław, a następnie przepadła bez śladu. Równocześnie niszczały i szczątki hetmańskie, pochowane w krypcie kościelnej. Trumnę latercynową przetopiono na lichtarze, tak iż zwłoki kryła tylko trumna drewniana.

Tak doczekały się one r. 1905. Wówczas to grono konserwatorów wschodnio-galicyjskich otwarło historyczną kryptę i znalazło w niej siedm na pół zbutwiałych trumien, w których spoczywały zwłoki Stanisława Żółkiewskiego, jego żony Reginy, syna Jana, Stanisława i Zofii Daniłowiczów, Jakóba Sobieskiego i Krzysztofa Żółkiewskiego.

W trumnie hetmana znaleziono jego szkielet zupełnie zbutwiały i resztki ubrania męskiego, jako ostatnie szczątki bohatera z pod Cecory.

Sejm krajowy przeznaczył w tym samym roku 1000 kor. na nową trumnę, konserwatorowie dołączyli na ten cel 500 kor., resztę złożono w drodze składek. Z pieniędzy tych zbudowano sarkofag na pomieszczenie resztek rodziny Żółkiewskich, na szczątki hetmańskie zaś sporządzono urnę marmurową, nadto sprawiono nową płytę grobową z bronzu.

Spoczęły tam zwłoki hetmańskie, a tylko brak wśród nich głowy. Ale światłość bije od niej na całą Polskę i bić będzie po wszystkie czasy.



Pogrzeb wielkiego hetmana: Katafalk z trumną, kryjącą szczątki hetmana Żółkiewskiego. Fot. M. Münz, Lwów.

Uroczystość pogrzebu szczątków hetmana Żółkiewskiego wypadła imponująco. Całe miasto przybrane było w świąteczne, uroczyste szaty. Na środku Rynku rozbito olbrzymi namiot purpurowy, oparty o ścianę żółkiewskiej kolegiaty; przed namiotem wznosił się olbrzymi katafalk, obity również purpurą. Na szczycie ustawiono podtrzymywaną przez orły małą trumienkę, nad nią zaś krzyż, przywiązany do trumny biało-czerwonemi wstęgami.

Napływ uczestników uroczystego pogrzebu był olbrzymi. Około 40.000 ludzi zebrało się w pamiętnem miasteczku. Wszystko to ruszyło rano drogą od dworca ku rynkowi. Na czele oddział konny Sokoła. Dalej piesze zastępy Sokolstwa z kapelą Czwartaków. Za nimi dziatwa szkół ludowych, szkoły średnie, stowarzyszenia młodzieży, a dalej rozmaite stowarzyszenia i instytucye ze sztandarami, oraz reprezentacye miasta Lwowa i powiatów, posłowie sejmowi i parlamentarni, a wreszcie straż pożarna.



Fot. M. Münz, Lwów.
Pogrzeb wielkiego hetmana: Płyta grobowa z bronzu nad kryptą ze zwłokami rodziny Żółkiewskich w kościele farnym w Żółkwi.

Gdy pochód stanął w Rynku, przemówił imieniem kraju marszałek hr. Badeni, poczem ks. arcybiskup Bilczewski odprawił żałobną mszę św., zaś ks. biskup Bandurski wypowiedział prześliczne kazanie. Po kilku przemówieniach, duchowieństwo odprawiło egzekwie, a następnie Sokoli ponieśli trumnę do sarkofagu w kolegiacie.

Wśród żałobnych śpiewów złożono trumnę w krypcie a obecni byli przy tem marszałek kraju, marszałek powiatu żółkiewskiego, radca dworu Szumlański i konserwator dr. Czołowski.

Był to ostatni akt wielkiej i pamiętnej uroczystości, która imię nieśmiertelną sławą okrytego hetmana polskiego przypomniała całemu narodowi.



Fot. M. Münz, Lwów.
Pogrzeb wielkiego hetmana: Kazanie ks. biskupa Bandurskiego podczas uroczystości na Rynku w Żółkwi.

Zniszczenie domu Kapuletów.

(Do illustracyi na stronie 10).

Jak wiadomo treść swojej tragedyi „Romeo i Julia“ oparł Szekspir na odwiecznym sporze dwu patrycyuszowskich rodów weroneńskich, Monteków i Kapuletów. Spór ten zakończył się małżeństwem Romea z Julią Capuletti. Dom, w którym mieszkała Julia, był dotąd jedną z atrakcyi dla licznych turystów, zwiedzających Weronę. Wznosił się on w samem centrum miasta, tuż obok Piazza d' Erbe, a nosił napis, że tu zamieszkiwała Julia „przez czułe serca bardzo opłakiwana, przez poetów opiewana“. Dom ten z dniem 18. września zniknął prawie z widowni, padając ofiarą niszczących płomieni. Pozostały wprawdzie mury zewnętrzne, lecz wewnętrzne urządzenie uległo zupełnemu zniszczeniu. Że opowieść Szekspira nie była wyssaną z palca, lecz opartą na rzeczywistości, dowodem tego

grób Julii, który znajduje się w miejscowym kościele Franciszkanów.

Podajemy illustracyę, przestawiającą ulicę we Weronie wraz z wspomnianym domem. Wykonano ją według zdjęcia fotograficznego, nadesłanego nam przez jednego z Polaków, który właśnie bawi w przejeździe w Weronie.

Z TYGODNIA

Już to prawdziwie smołowo-czarny pech mnie prześladuje! Do czego się wezmę, nic się nie udaje. W jednej z poprzednich kronik zapowiedziałem cholerę i dotąd jej niema, w obecnej zabierałem się do opisu drewnianej budy, zdobiącej od kilkunastu lat, jak mi moja ciotka opowiadała, kościół Maryacki, tymczasem magistrat mnie u przedził i nim się do pisania zabrałem, buda owa, cel podróży różnych zagranicznych archeologów, zniknęła z horyzontu. Na przyszły tydzień zostawiłem sobie opis podkopów w ulicy Basztowej i koło Rondla, boję się jednak, czy tymczasem także i tych robót nie pokończą. O to, zdaje się, nie trzeba się obawiać, w każdym razie taki pech to także coś ciekawego. Mogę o sobie powiedzieć to samo, co powiedział ongi jakiś „pechowaty“ mędrzec, że gdybym się był przypadkiem urodził kapelusznikiem, to na złość mnie, ludzie rodziliby się bez głów.

Dzisiejsze pokolenie ma wprawdzie głowy, ale zdaje mi się więcej do parady tj. do noszenia kapeluszy i czapek, niż do myślenia. Bo proszę sobie tylko wyobrazić, jak wyglądają owe ciągłe wysiłki urzędowych mózgów nad stworzeniem zreformowanych szkół średnich, gdy w szkołach starego typu przepełnienie, a gdzieniegdzie nawet brak ławek, jak to czytaliśmy o lwowskiej filii IV. gimnazyum. Zanim wejdą w życie nowe zreformowane zakłady, niech tymczasem w dotychczasowych będzie jakiś znośny porządek. Będzie z tego dla zdrowia młodego pokolenia większy pożytek, aniżeli z reform, które, kto wie kiedy, wejdą w życie. A czy może być coś ważniejszego, jak zdrowie tego młodego pokolenia, które jest nadzieją naszą, a które musi się dusić tu i ówdzie w ciemnych, małych klatkach, nazwanych szumnie salami szkolnemi. Byłby czas, aby władze baczniejszą na tę kwestyę zwróciły uwagę!

Reforma szkolnictwa przywodzi mi na myśl reformę wyborczą, o którą tak się wszyscy ubiegają. Wprawdzie podnoszą się głosy, że nasz sejm uchwali ją w szóstym roku obecnej kadencyi, jeśli tymczasem nie nadejdzie koniec świata, ja byłbym temu zasadniczo przeciwny. Im prędzej, tem lepiej. Skoro uchwaloną zostanie nowa czteroprzymiotnikowa ordynacya wyborcza, wpłynie to bardzo dodatnio na stosunki krajowe, podniesie się dobrobyt wyborców, a teraz przecież takie ciężkie czasy. Ten i ów zarobi na tym interesie, kapitał się ruszy, a co najważniejsze, będzie nowy temat dla dziennikarzy. W każdym razie byłbym w myśl wniosków p. Dulębianki za dopuszczeniem kobiet do sejmu, wpłynęłoby to bardzo dodatnio na ożywienie obrad, które teraz są takie monotonne. Ale musiałoby się wybierać same młode i ładne, aby mężczyźni nie uciekali ze sali do bufetu, choć jedna lub dwie stare a wygadane nie zaszkodzą. Tych można by użyć w razie obstrukcyi sejmowej jako tak zwanych: *Dauerrednerów*, lub do przyjmowania niepożądanych deputacyi. Toby część ich może odstraszyło.

Wogóle obecna sesya naszego sejmu nie przedstawia dla kronikarza, a tem samem dla szerszej publiczności żadnego interesu. Nie było dotąd żadnej borby ruskiej ani nawet choćby małego koncertu. Posłowie radzą częścią w komisyach a częścią w bufecie, jeden jedyny p. Staruch potrafił się jakoś wybić ponad szary tłum. Nawet upominanie się ruskich posłów o prawa języka ruskiego w sejmowych komisyach, było wniesione w sposób całkiem europejski. Wogóle nie poznaję naszych braci z za Sanu, tak im rura zmiękła. A może to cisza przed burzą?

Zato czeski sejm jest widownią niebywałych skandalów! Obstrukcya niemiecka przybrała najordynarniejszą formę, pozazdrościli Niemcy muzykalnych zdolności Czechom i przedstawiciel ich w sejmie czeskim, Glöckner, naśladując kolegów parlamentarnych Trylowskiego i Budzynowskiego, dał koncert na trąbce, a inni pobratymcy nucili tak drogie ich sercom *Wacht am Rhein*. Poseł Iro i Wolf nie żałowali także swych gardziołków, zaco wdzięczna galerya sprawiła temu ostatniemu „cukrową“ owacyę. Mnie się zdaje, że nasz Badeni byłby bardzo odpowiedni na czeskiego marszałka; przy znanej swej energii dałby może Szwabom radę i zapanowałby wreszcie nad Wełtawą tak upragniony spokój. A może zbliżanie się cholery wpłynie uspakajająco na austryackich polityków?

Mam tu na myśli głównie Niemców, którzy *furore teutonico rapti* zwrócili na siebie uwagę całego świata nie tyle obstrukcyą w czeskim sejmie, ile wystąpieniem w południowych okolicach Austryi, gdzie dzięki im krew się polała. Chociaż Niemcy trzymają się bardzo dobrej taktyki. Wszystkie zajścia, w jakich są smutnymi bohaterami, prowokują sami, a potem jeszcze głoszą światu z boleścią, że w swym „rdzennie niemieckim“ kraju, Austryi, narażeni są na prześladowanie przez Słowian. Rzecz naturalna, że ich pobratymcy z za pruskich słupów granicznych leją łzy krokodyle nad uciemiężonymi braćmi, chętnieby urządzili krucyatę, celem wyzwolenia ich z pod słowiańskiego jarzma, byle tylko w nagrodę pozwolono im austryackie prowincye przyłączyć do niemieckiej Rzeszy. Miejmy nadzieję, że to się nie stanie, choćby nawet Gross, Zeppelin i Parseval zbudowali całą flotyllę napowietrznych statków. Szwabstwo się jednak, jak z tego widać, strasznie w Europie rozpanoszyło i gwałtownie trzeba myśleć o jakim Zacherlinie!

Polityczna sytuacya Europy od ubiegłego tygodnia nie uległa żadnej zmianie. Wprawdzie ks. Ferdynand bułgarski pragnąłby zmienić niewygodny stolec książęcy na obszerniejszy nieco tron królewski, zdaje się jednak, że jak dziś rzeczy stoją, nie wyjdzie to poza granice jego pobożnych życzeń. Choć przyznam się szczerze, wolałbym ks. Ferdynanda widzieć królem. Aż nie wypada, by właścicielem tak pięknego nosa był tylko książe. Jakże tu z tak piękną ozdobą twarzy bić przed sułtanem pokłony lennicze, taki nos nie kłania się innym, ale od innych powinien odbierać hołdy. Ambicya ks. Ferdynanda bardzo czule została podrażnioną serdecznem przyjęciem, jakiego doznał w Budapeszcie. Było to pewnego rodzaju zadośćuczynienie za zniewagę, jaka spotkała Bułgaryę ze strony Turcyi. Ale równocześnie mogą kierownicy europejskiej polityki powiedzieć księciu — masz już dość, czego chcesz więcej? — A on do da cicho: „Korony!“ I tak zdaje się powtarzać będzie z uporem aż do śmierci.

Ja miałbym dla ks. Ferdynanda daleko lepszą posadę niż tron w Bułgaryi, gdzie nie jest pewny ani dnia, ani godziny, nie wiem tylko, czy zgodzi się na moją propozycyę. Ofiarowałbym mu ni mniej, ni więcej tylko fotel prezydyalny na Podgórzu. Tam byłoby i bezpiecznie i z honorem, a z czasem, gdy będzie wielki Kraków, mógłby mieć aspiracyę i na prezydenta wielkiego Krakowa, a to chyba honor większy, niż książe, a choćby nawet król jakiejś tam Bułgaryi.

Ja w tym duchu prowadzę już agitacyę między podgórskimi wyborcami, a należę dziwnym trafem do obu komitetów wyborczych: postępowo-demokratycznego i demokratycznego miejskiego. Główna rzecz, aby wpakować Ferdka do rady, resztę jakoś się zrobi. Komitet kahalno-propinacyjny przyrzekł już swe poparcie. To tylko najgorsze, że komitet postępowy jest za połączeniem Podgórza z Krakowem (przynajmniej teraz tak głosi), miejski zaś jest contra, i tu gotowa się cała sprawa rozbić znów o „wielki Kraków“. Pan Czecz, sądzę, nie będzie miał także nic przeciw temu, jeśli jego podwładnym będzie „prawdziwy“ książe.

W ten sposób zyskałbym sobie wdzięczność Podgórza, wdzięczność ks. Ferdynanda, a co najważniejsza łaski sułtana, który gotów mnie zato zrobić jakim wysokim dygnitarzem tureckim, może nawet świętym, gdyż na tureckiego świętego mam wszelkie kwalifikacye, co poświadczyć może biuro egzekucyjne tutejszego c. k. sądu powiatowego i liczni moi znajomi wyznania mojżeszowego.

Zanim jednak nadejdzie ta nominacya, chciałbym doczekać jeszcze tej chwili, gdy z Krakowa będą automobile wywozić śmiecie. Lwów nam w tym względzie zaimponował znowu. Że Kraków nie ma takiego automobilu to wina, jak powiada p. Szczepański w *Nowinach*, Daszyńskiego, który beształ Radę, że chce wyrzucać pieniądze na głupstwa. A jak taki automobil jest praktyczny, jak łączy przyjemne z użytecznem, to przecież dowód w tem najlepszy, że lwowskim „śmieciowym“ automobilem jeździli sobie w dniu św. Henryka radcy „strzelniczanie“ na spacer do Brzuchowic, a potem wywożono nim śmieci! Była i zabawa, jest i pożytek. Cała w tem nadzieja, że krakowska Rada może się jeszcze opamięta i uchwali kredyt na taki automobil.

Prócz zakupna onego, mamy jeszcze inne postulaty, których spełnienia żądamy od Rady miejskiej, a która we wtorek dnia 29 września rozpoczęła swoją zimową kampanię. Radcy, odświeżeni na ciele i umyśle w czasie wakacyi, będą mieli więcej sił i ochoty do spełnienia naszych życzeń, których jest co niemiara!

Nie myślę też poruszać tych kwestyj, aby nie zabierać materyału naszym pismom codziennym, wspomnę tylko o cholerze, na której samo wspomnienie aż ciarki przechodzą, szczególnie naszych braci mojżeszowego wyznania. Rada miejska swą powagą powinna zakazać cholerze pojawienia się w Krakowie, albo też nałożyć na nią podatek, to ucieknie, gdzie pieprz rośnie. Podatek taki mógłby być obrócony na wsparcie funduszu ubogich, odpadłby wobec tego projektowany nowy podatek od biletów na widowiska teatralne, a nawet do tinglu. Przeciw opodatkowaniu biletów tinglowych na rzecz biednych protestują krakowskie żony i teściowe. Bo proszę sobie wyobrazić sytuacyę biednej kobiety, gdy mężulek wraca rano z podróży po „bezdrożach“. Rozsierdzona magnifika, z trzepaczką w ręce, tym symbolem władzy domowej, czeka we drzwiach na swego tyrana, a na zapytanie: „Skąd wracasz?“ otrzymuje odpowiedź:

— Moja droga, widzisz, chciałem wspomódz ubogich, byłem w Colosseum!

I co tu odpowiedzieć na takie dictum? Dodał tańcowano na dziadów, rautowano itp., teraz będzie się w tym celu i „tinglować“.

W Krakowie ma potanieć mięso, ale tylko III. jakości. Jest to słodka obietnica, która kto wie, czy się spełni, gdyż do tego czasu ceny bydła mogą się znów podnieść. Choć bydło tanie, mięso drogie. Nasi rzeźnicy chcieliby nas zmienić na wegetaryanów, co wpłynęłoby bardzo na uszlachetnienie rodzaju ludzkiego, jak wiadomo powiem z odezw „jarców“ — mięsożerstwo budzi w człowieku różne niskie instynkta, gdy przeciwnie żywienie się pokarmem roślinnym, sałatką, korzonkami itd. robi z drapieżnych wilków spokojne baranki. Nie jedzmy więc mięsa, choćby potaniało, bo będzie źle! *X.*

Po katastrofie Parsevala.

(Do illustracyj na str. 9 i 10).

Jak wiadomo z poprzedniego artykułu balon majora Parsevala uległ pod Berlinem rozbiciu, natomiast balon majora Grossa, szefa niemieckiego aeronautycznego oddziału, pobił nawet rekord Zeppelina. Od tej chwili prasa nie przestaje zajmować się obu wybitnymi aeronautami. Przed kilku dniami doniesiono o sporze, jaki wybuchł pomiędzy hr. Zeppelinem a majorem Grossem. Ten ostatni zarzuca Zeppelinowi, że projekt jego statku napowietrznego nie jest oryginalnym pomysłem wynalazcy, lecz że po prostu jest naśladownictwem i wykonaniem problemu, rozwiązanego już przez austryackiego, zmarłego niedawno inżyniera Schwarza. Jeśli to się okaże prawdziwem, gwiazda Zeppelina zblednie bardzo, natomiast tembardziej zabłyśnie major Gross, gdyż oryginalności jego pomysłu jeszcze nikt dotąd nie zaczepił. Być może, że i na niego przyjdzie także kolej, w każdym razie jak dotąd, Niemcy chlubią się majorem Grossem, a złorzeczą losowi, który prześladuje Parsevala.

Katastrofa kolejowa w Berlinie.

W sobotę, dnia 26 bm. nastąpiła na linii berlińskiej miejskiej kolei elektrycznej straszliwe zderzenie. Kolej ta kursuje częściowo pod ziemią, a zresztą po torze, zbudowanym ponad ulicami. Pociąg, wychodzący na Placu Lipskim z pod ziemi, zderzył się z pociągiem, spieszącym z przeciwnej strony i nastąpiła katastrofa, której ofiarą padło 21 osób zabitych, a 20 bardzo ciężko rannych. Lżej ranionych jest około 30-tu osób. O sile uderzenia świadczy fakt, że wagon, zdążający od strony Placu Lipskiego, spadł z toru na podwórze wielkiego domu, w którym znajdowały się hale targowe.

Miejsce katastrofy przedstawiało straszny widok. Pod szczątkami rozbitych wozów leżały części porozrywanych ciał ludzkich. Z pomiędzy 21 ofiar rozpoznano tylko 18, reszta zwłok jest tak zeszpecona, że ich absolutnie poznać nie można. Przy wydobywaniu pozostałych przy życiu podróżnych z pod roztrzaskanego wozu i z wagonów, zwisających z toru rozgrywały się przerażające sceny.

Ferdynand Bułgarski w Budapeszcie.

W dniu 23 września br. przybył do Budapesztu w odwiedziny do cesarza książe Ferdynand bułgarski wraz z swą małżonką.

Wizyta ta miała bezwątpienia wielkie znaczenie polityczne zwłaszcza w czasie, gdy między Turcyą a Bułgaryą zanosi się na poważny spór z powodu zlekceważenia zastępcy Bułgaryi w Konstantynopolu, Geszowa. Jak wiadomo nie zaproszono go na obiad dyplomatyczny do wielkiego wezyra, a gdy się upomniał o należne mu prawa, oświadczono, że zaproszenia rozesłano tylko reprezentantom państw samodzielnych, a Bułgarya jest przecież tylko lennikiem Turcyi.

Obecna wizyta księcia Ferdynanda na dworze austryackim ułatwia Turcyi naprawienie popełnionego błędu; skoro bowiem cesarz austryacki przyjął go z honorami, należnymi monarchom, to i rząd padyszacha nie będzie chyba obstawał przy tem, by reprezentanta Bułgaryi traktowano nad Bosforem inaczej, aniżeli innych członków tamtejszego ciała dyplomatycznego.

Zgon zacnego przyjaciela ludu.

We wtorek dnia 29 września odprowadziło liczne duchowieństwo i wielotysięczna rzesza oko-



Straszna katastrofa w Berlinie: Tłumy Berlińczyków na miejscu katastrofy obok zwalonego wagonu, pod którym znalazło śmierć dwadzieścia jeden osób.



Ferdynand Bułgarski w Budapeszcie: Książe Ferdynand z gronem oficerów 11. pułku huzarów, przy którym niegdyś służył jako porucznik, a którego obecnie jest właścicielem.

licznych włościan śmiertelne szczątki śp. ks. Walentego Skiminy na cmentarz krzeszowicki.

Śp. ksiądz Walenty Skimina urodził się w roku 1838 w Szczytnikach jako syn włościanina, a ukończywszy o „chłodzie i głodzie“ swe studya, pracował najpierw jako wikaryusz na wsi, poczem w uznaniu jego wielkich zdolności powołano go na katecheturę przy gimnazyum św. Jacka w Krakowie. Rychło jednak zatęsknił w murach starego Krakowa za ukochaną wsią i osiadł na probostwie w Bolechowicach. Ciężka a serdeczna praca nad ludem stargała jednak słabe siły gorącego pracownika dla świętej sprawy naszej przyszłości, ks. Skimina osiadł w Czatkowicach pod Krzeszowicami, czyniąc dobrze, gdzie tylko była sposobność.

Uznając, że oświata to przyszłość nasza, darował biednej gminie, choć sam ubogi, półtrzecia morga gruntu z warunkiem, że gmina postawi na nim w ciągu dwu lat szkołę ludową. Nadto nosił się z myślą wystawienia obok szkoły „domu ludowego“, w którym mogłaby się pomieścić czytelnia i wielka sala na zgromadzenia, odczyty lub teatr.

Lud odczuł w śp. ks. Skiminie swego przyjaciela, odpłacał mu też gorącem przywiązaniem i zaufaniem, a wymownym dowodem tego był pogrzeb zmarłego, na który pospieszyła nietylko ludność Czatkowic, ale i całej okolicy. Hr. Andrzejowa Potocka wraz z całą rodziną oddała cichemu a zasłużonemu pracownikowi na niwie pracy dla dobra ludu ostatnią przysługę.



Zgon zacnego przyjaciela ludu: Kondukt pogrzebowy ze zwłokami śp. ks. Skiminy przed kościołem w Krzeszowicach.

Odznaczenie dr. Dłuskiego w Lublinie.

Z pomiędzy nielicznych galicyjskich wystawców, którzy na wystawie hygienicznej w Lublinie stanęli przed forum publicznem, pierwsze miejsce zajął dr. Dłuski z Zakopanego, uzyskując najwyższą nagrodę tj. dyplom honorowy.

Na lubelskiej wystawie zakopiańskie sanatoryum wystąpiło z pięciu modelami. Przedstawiono cały gmach w otoczeniu świerków wraz z drogą dojazdową od tyłu (celem uniknięcia kurzu). Drugi model przedstawia poziome przecięcie gmachu przez pierwsze piętro, celem pouczenia publiczności o rozkładzie pokoi w stylu „sanatoryum“. Od południa biegnie jeden rząd pokoi słonecznych, od tyłu szeroki, widny kurytarz. Jadalnia wraz z kuchnią usunięte są do tyłu, aby kuchenne zapachy nie mogły nikogo inkomodować. Dalej widzimy dokładny model pokoju sypialnego pacyenta o całkowicie zmywalnem wnętrzu. Nawet miękkie meble nadają się doskonale do mycia. Podwójne drzwi tłumią wszelkie hałasy i zapewniają spokój tak niezbędny dla chorych. Leżalnia, przedstawiająca plastycznie werandujących pacyentów w zimowych strojach i futrzanych workach, zaopatrzonych zarękawkami, stanowi czwarty model. Ostatni wreszcie model stanowi piec, przeznaczony do spalania tekturowych, impregnowanych spluwaczek, jedynie używanych w zakładzie. W ten sposób plwocina ginie najszybciej i najradykalniej wraz z zarazkami. Model ten, choć najmniej efektowny, jest najbardziej interesujący, gdyż naocznie pokazuje, jak najlepiej walczyć z tym strasznym wrogiem ludzkości — gruźlicą.

Z lwowskiego bruku.

Nowy występ lwowskiej policyi. — Jak Rada zwalcza policyę i jej powaga. Sprawa trzeciego wiceprezydenta. — Uroczystość żółkiewska, poeci a kolej. — Ostatni skandal towarzyski na starą nutę. — O czem Lwów mówi i jak długo).

Na samym początku ubiegłego tygodnia urządziła policya lwowska nową krwawą masakrę, dając ponowny dowód, że nie śpi, ale owszem, nie pomija żadnej sposobności, gdzie można się odznaczyć. Słuszność każe przyznać, że lwowski policyant jest tchórzem, uciekającym lub chowającym się w bramie przed garstką studentów lub wesołych obywateli tylko wtedy, gdy jest sam. Natomiast, gdy się znajdzie w całej kompanii, złożonej z kilkudziesięciu pieszych i tyluż konnych policyantów, staje się nieustraszonym i dzielnym wojownikiem nawet wobec całej setki kobiet, dzieci i starców. Wtedy wyciąga z pochwy szablę, jak dawny dzielny żołnierz, trafiając atoli przeważnie z tyłu.

Niedzielna masakra policyi z okazyi socyalistycznej demonstracyi przed Sejmem o powszechne prawo wyborcze do Sejmu, zgodnem zdaniem wszystkich dzienników, była nowym dowodem brutalności policyi, która urządziła to sobie bez najmniejszej potrzeby, ale ot tak, żeby się przypomnieć miastu i władzom. Przecież to wstrętne, co potrafi wyprowadzić z równowagi nawet najbardziej cierpliwego człowieka. A już co najwięcej oburza, to sposób załatwiania takich spraw: dzienniki się oburzają, władze przyrzekają przeprowadzić śledztwo, śledztwo wykazuje brak winnych i żadnemu polikierowi nie spada włos z mądrej głowy. Przecież powtarza się to tak często, zawsze są te same hałasy, zawsze to samo śledztwo i ten sam rezultat, tj. nic...

Podają jako jedyny na to sposób rozpędzenie wojskowej policyi rządowej, a zastąpienie jej miejską. Tak przynajmniej po każdej awanturze policyjnej proponują radni miasta, wzywając prezydyum, aby się o to czem prędzej postarało. Tymczasem prezydyum, jak i cała Rada miasta nie mają żadnej zgoła powagi, bo wszystkie uchwały ważniejsze, o ile nie chodzi o jaki interes prywatny, nie mogą doczekać się wykonania.

Teraz zresztą zajęta jest Rada trzecią wiceprezydenturą, na którą już nawet upatrzony jest kandydat. Mamy więc trzeciego wiceprezydenta, ale nie mamy jeszcze trzeciej wiceprezydentury, którą dopiero trzeba było uchwalić przy zmianie statutu. Starała się o to opozycya, która zresztą słusznie twierdzi, że należy jej się udział w rządach miasta, a sprzeciwiała się temu znana z uprzejmości Strzelnica, która także nie bez słuszności utrzymuje, że wszelkie godności i urzędy, które mają się dostać komuś nie ze Strzelnicy, są synekurą, a więc zupełnie zbyteczne i szkodliwe. Ale w tym tygodniu na mocy układu na tajnem posiedzeniu klubów uchwalono zmianę statutu w tym kierunku, że „Rada miasta *powołać może* do urzędowania stałego także III. wiceprezydenta“. A więc sprawa narazie na pół załatwiona, byle tylko jeszcze nastąpiło zatwierdzenie zmiany statutu przez Sejm i sankcya cesarska.

Zaraz po tej uchwale wyjechał cały Lwów do Żółkwi na uroczysty pogrzeb śmiertelnych szczątków hetmana Żółkiewskiego. Cała uroczystość wypadła wspaniale, pomimo że nie było przytem policyi lwowskiej, którąby ją swoim współudziałem uświetniła. Kolej robiła wszystko możliwe, aby się ludzie gnietli, dusili i dławili, ale nie było żadnego wypadku nieszczęśliwego, bo ludzie już przyzwyczaili się do podróżowania po galicyjsku, a nadto podróż trwała zaledwie dwie godziny. Żaden ton fałszywy nie zamącił uroczystego nastroju, jeżeli nie uwzględnimy wielkiej ilości poematów lirycznych, które z okazyi tej uroczystości cała falanga poetów popełniła. Dla tych ludzi nie ma nic świętego.

Z chronique scandaleuse wolno mi już wspomnieć — bo w jednym z tygodników już o tem obszernie pisano — że pewna młoda a posażna żonka wykiwała swego męża bardzo poważnego i poważnego urzędnika a wykiwała go przy pomocy swego kuzyna, znanego na bruku lwowskim agenta asekuracyjnego. Zdradzała go tak długo, aż ślepemu, jak zwykle w takich razach, otworzyły się oczy i — przyłapał ich w hotelu w Berlinie, gdzie oboje zameldowali się jako — mąż i żona. Oczywiście, że mąż był trochę (nareszcie!) zdziwiony, i zaproponował żonie rozwód. Ale tu wmieszało się „to trzecie“, (nie „ten trzeci“) bo małe bobo, które na gwałt szukało ojca, między mężem swojej matki a jej kuzynem od asekuracyi. Musiał być bęben nie tęgi, bo obaj wyparli się go i oto sąd ma rozstrzygać to, o czem wie tylko jeden Bóg, druga żona i ktoś trzeci, a może nawet czwarty, czy piąty...

Skandal jest w każdym razie i to skandal głośno omawiany, zwłaszcza gdy jeden z tygodników przyniósł bardzo ciekawe i podobno autentyczne informacye w szczegółach. I Lwów ma znowu o czem mówić, mówić, mówić aż do następnego skandalu.

(* * *).

Odznaczenie krakowskiej firmy.

Pomiędzy nielicznemi firmami z zagranicy, które w bieżącym roku otrzymały nagrodę na międzynarodowej wystawie paryskiej, znajdujemy i znaną krakowską firmę krawiecką Gabryela Grabowskiego, która odznaczoną została złotym medalem i honorowym krzyżem za postęp w dziedzinie sztuki krawieckiej. Krakowski wystawca wystąpił z żakietem, zrobionym z jednego kawałka, bez szwów, mającym jednak bardzo piękną figurę, co przedstawiało wielką trudność techniczną.

Pracownia krawiecka firmy Grabowskiego założoną została w 1878 r. w Krakowie, przy ulicy Brackiej przez ś. p. Leona Grabowskiego. Przed piętnastu laty przeniesiono ją na ulicę Szpitalną naprzeciw Teatru miejskiego, gdzie prowadzi ją syn ś. p. Leona, Gabryel Grabowski. Obecny szef firmy ukończył fachową wyższą szkołę krawiecką we Wiedniu, tak zwaną Erste Zuschneider-Lehranstalt, poczem wyjechał do Drezna, gdzie kształcił się dalej w swoim zawodzie w „Europäische Moden-Akademie“ pod kierunkiem nauczyciela kroju Gunke'go, poprzednika sławnej firmy Franke we Wiedniu. Po ukończeniu tej krawieckiej akademii zwiedził pracownie paryskie, poczem osiadł w naszem mieście. W tegorocznej wystawie londyńskiej bierze firma Grabowskiego także udział, wystawiając wspaniały kostyum męski.



Odznaczenie krakowskiej firmy: Magazyn i pracownia krawiecka Gabryela Grabowskiego, przy ul. Szpitalnej 36.

Kostyumy, które wykończono w pracowni p. Grabowskiego odznaczają się trwałością i eleganckiem wykonaniem, a co najważniejsze na dzisiejsze ciężkie czasy, cena ich wcale nie jest wygórowaną. Firma używa głównie materyałów krajowych, robiąc jednak na żądanie i z materyałów angielskich, zatrudnia także personal wyłącznie miejscowy.

Wobec wysokiego poziomu, na jakim pracownia p. Grabowskiego się znajduje, eleganci nasi powinni stanowczo zarzucić brzydki i niepatryotyczny zwyczaj sprowadzania ubrań od firm zagranicznych, których wyroby zresztą żadną miarą pod względem trwałości z wyrobami tej krajowej firmy konkurować nie mogą.

Pracownia krawiecka p. Grabowskiego powinna też być dobrą szkołą dla adeptów sztuki krawieckiej. Mogą się w niej tyle wyuczyć, ile w jakimkolwiek zagranicznym zakładzie, bez potrzeby kosztownego wyjazdu za granicę.





W niniejszym numerze umieszczamy prócz fotograficznego zdjęcia magazynu i portretu p. Gabryela Grabowskiego, także i podobizny odznaczeń, któremi zaszczyconą została ta znana krawiecka firma.



Odznaczenie krakowskiej firmy: Gabryel Grabowski.



Odznaczenie Dra Dłuskiego w Lublinie: Przedmioty, odnoszące się do sanatoryum w Zakopanem.

U wrót śmierci

Powieść wysnuta z aktów paryskiego archiwum karnego,

przez M. Level'a

13 Ciąg dalszy.

— Jak się masz Javel?

Obrócił się i zobaczył swego kolegę z policyi. Odrazu powrócił mu humor. Położył palce na ustach, wziął towarzysza pod ramię i szepnął mu cicho:

— Sza! baczność.

— Masz coś?

— Tak, przed nami o dwadzieścia metrów.

— Coś poważnego?

— Jeszcze się pytasz!... Zdaje mi się, że już go mam, na razie jednak nie mogę ci jeszcze nic powiedzieć. Jeżeli nie jesteś bardzo zmęczony, zaproponuję ci coś. Weź mego gościa na oko... jest to sprawa niezmiernej wagi.

— A nie można wiedzieć, jaka właściwie to sprawa?...

— Nie teraz, za kilka godzin dopiero, rano... jestem już strasznie zmordowany, a przytem zdaje mi się, że on mnie widział i będzie się strzegł, ciebie zaś nie zna. No cóż, dobrze?

— Jeżeli chcesz tego, to dobrze. Mogę go więc nie spuszczać z oka.

— To przedewszystkiem zważaj tylko pilnie na drzwi, w które wejdzie. Rano o godzinie dziesiątej dasz mi znać, będę na ulicy de Donai koło domu pod numerem 16. Tylko na miłość Boga, bacz na każdy jego krok; może już nigdy nie będziemy mieli lepszej partyi do rozegrania, a z wygranej i ty odbierzesz swoją część... ręczę ci za to!...

— To wszystko bardzo dobrze, mimo to jednak chciałbym wiedzieć...

— A więc dobrze — rzekł Javel, widząc, że jego kolega waha się — zdaje mi się, że jest to morderca z bulwaru Lannes.

Nie był on wcale pewnym udziału Coche'a w tej zbrodni, zdawał sobie jednak sprawę, że jeżeli nie będzie twierdził stanowczo, tamten może mu odmówić. Nadzieja na taką zdobycz przekonała go wreszcie.

— Ale czy jesteś pewny?

— Najpewniejszy—odpowiedział Javel z przekonaniem. Widzisz, że to warte pewnego trudu.

— Możesz liczyć na mnie, już go nie popuszczę.

— Tylko dobrze uważaj. Ta szelma ma oczy i nogi, jakich można mu pozazdrościć.

— I ja nie gorsze.

— A więc o dziesiątej przysyłaj z nowinami na ulicę de Donai 16.

— Dobrze.

Javel obrócił się i podążył spokojnie do centrum miasta. Coche już mu nie ucieknie, a jeżeli myli się co do jego winy, to oprócz kolegi, który obecnie również jest zainteresowany w tej sprawie, nikt nie będzie wiedział o nocnej ich wycieczce.

Od Luksemburgu Coche nie odwrócił się ani razu, szedł prosto przed siebie, odczuwając raczej instynktem, niż wnioskując z zamienionego spojrzenia z ajentem, o grożącem sobie niebezpieczeństwie. Chwilami zwalniał kroku, by lepiej słyszeć idącego za sobą. Przez sekundę, gdy Javel spotkał swego kolegę, zdawało mu się, że jest zbawiony i gdyby wówczas znalazł jaką boczną ulicę, puściłby się w nią całym pędem, niestety jednak, odgłos kroków wkrótce doleciał go znowu, jeszcze głośniejszy, niż poprzednio i pojął wtedy, że zamiast jednego śledzi go teraz dwóch. Doznawał obecnie jeszcze większego niepokoju, niż w noc zabójstwa, gdy szedł sam przez bulwar; owładał nim strach przed nieznanem jutrem, a im bardziej się spieszył, tem wolniej wydawało mu się, że postępuje.

Czuł na swym karku ich wzrok, odgadywał ich szept. Do tego stopnia był podniecony, iż chwytał w rękę rewolwer i chciał obrócić się nagle, by strzelić ku nim, skończyć raz z tą ścigającą go zmorą. Dziwna jednak myśl powstrzymywała go od tego: obawiał się, że nie ujrzy wtedy przed sobą nikogo, że to wszystko jest tylko halucynacyą. Tak strasznie był już zmęczony, iż chwilami nogi odpowiadały mu zupełnie posłuszeństwa i chciał paść gdziekolwiek, zdać się na los szczęścia. Wreszcie na końcu ulicy Orleańskiej dojrzał latarnię przed hotelem. Zadzwonił, czekając oparty o mur, zanim mu drzwi otworzą, zażądał pokoju i zaledwie wszedł, nie zdejmując ubrania, rzucił się na łóżko, nie zdążył ani zasunąć, ani klucza przekręcić, wpadł bowiem odrazu w głęboki, twardy sen.

W dwie minuty potem ajent, któremu nie uśmiechało się nocowanie pod otwartem niebem, wchodził do tego hotelu, mówiąc obojętnym tonem do służącego:

— Proszę mi dać pokój obok mego przyjaciela, który tu wszedł przed chwilą. Gdy się obudzi, niech mi pan da znać, ale nie wspomina mu o mnie; chcę mu zrobić niespodziankę...

Udał się po cichu na schody i jak tylko hotelowy wyszedł, przytknął zaraz ucho do ściany. Oddech Coche'a był ciężki i równy; ajent pewny, że go obudzą we właściwej porze, położył się i zasnął spokojnie.

* * *

O ósmej zrana Javel był już na posterunku przy ulicy de Donai pod numerem 16. Miał zamiar iść na górę, by rozmówić się z posługaczką, nie chciał jednak widzieć się ze stróżką i dlatego czekał na ulicy, aż ona wyjdzie z domu. Ponieważ nie zdarzyło się jeszcze w Paryżu, by stróżka pozostawała dłużej niż godzinę w swem mieszkaniu, zwłaszcza rano, gdy rozpoczynają się wszelkie plotki, pewien był, iż wkrótce ją ujrzy. I rzeczywiście w kilka minut potem stróżka wyszła. Skorzystał z tego i pospiesznie wszedł do bramy. Nie wiedział wprawdzie, na którem piętrze mieszka dziennikarz, drobnostka ta jednak nie zakłopotała go, gdyż zadzwonił do pierwszych lepszych drzwi i zapytał:

— Czy pan Coche w domu?

— To nie tutaj, na czwartem...

— Przepraszam najmocniej.

Na czwartem piętrze otworzyła mu drzwi jakaś starsza kobieta.

— Pan w domu? — zapytał się, lecz takim tonem jak człowiek, który jest o tem przekonany, a pyta się tylko dla formy.

— Nie proszę pana...

Uśmiechnął się:

— Proszę powiedzieć, że to ja... przyjmie mnie z pewnością, niech tylko pani poda me nazwisko...

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zagadki do nagrody.

Szarada.

Ułożył A. Bocsoń, Bóbrka.

Kto szerokie ma pierwsze i trzecie,
Niejednego słabeusza zgniecie,
Drugie i trzecie spostrzeżesz, gdy deszcz padnie.
Wżłobi się kołami głęboko i ładnie.
Całość zaś, da ci miano króla polskiego
Opłakiwanego przez Kochanowskiego.

Arytmogryf.

Ułożył Macherski, Częstochowa.

Zamiast cyfr wstawić litery w ten sposób, aby cyfry oznaczone grubszym drukiem, czytane w pionowym kierunku z góry na dół utworzyły z lewej strony imię i nazwisko kompozytora, z prawej zaś tytuły dwu jego oper.

33	14	30	22	10	14	12	20	31	17	**25**
26	32	23	14	**12**						
10	14	23	26	**30**						
25	23	17	25	12	2[illegible]	**14**				
27	14	12	14	26	**30**					
18	25	12	11	**17**						
25	20	25	23	22	21	**14**				
12	17	13	17	30	**17**					
11	26	13	14	31	25	30	**11**			
17	0	14	16	25	0	20	**14**			

Znaczenie wyrazów: 1. Sławna piechota turecka. 2. Imię zmarłego króla szwedzkiego. 3. Inaczej testament w znaczeniu biblijnem. 4. Przyrząd rysunkowy. 5. Tytuł jednej z powieści Prusa. 6. Kompozytor włoski. 7. Wybór króla. 8 Miasto włoskie sławne z tragicznej historyi zakochanej pary. 9. Góra wulkaniczna w Persyi. 10. Imię żeńskie.

Krzyż magiczny.

Ułożył M. Rożański.

Podane litery tak poprzestawiać, aby dały trzy słowa równobrzmiące tak w pionowym, jak i poziomym kierunku.

		a	a	a		
		a	a	a		
i	i	k	k	m	m	n
n	n	n	n	n	o	o
o	o	r	r	s	s	t
		u	u	w		
		z	z	z		

Znaczenie wyrazów: 1. Imię żeńskie. 2. Miasteczko w Galicyi zachodniej. 3. Tygodnik lwowski.

Szarada.

Ułożyła K. Okoniowa.

Pierwszą znajdziesz w wrzącej wodzie,
Drugą jeździć teraz w modzie,
A obie złączone z sobą —
Są każdej damy ozdobą.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania powieść K. Glińskiego » W Babinie« 2 tomy

NADESŁANE.

Za rubrykę niniejszą Redakcya nie przyjmuje odpowiedzialności).



Rozwiązanie zagadek z Nru 38.

Szarada.
Irenka.

Krzyż magiczny.
Plagjat, hygiena, rejestr.

Szarada.
Ameryka.

Logogryf.
Sieroszewski Wacław, Głowacki Aleksander.

Dobre rozwiązanie nadesłali Pp: O. Górkowa Chyrów, S. Kopfowa Tarnów, Z. Boulangé Gawłówek, E. Załulińska Olszanica, A. Poinc Grojec, W. Stanula Samocice, ks. J. Dulian Padew, M. Opolska Czarny Dunajec, M. Serbeńska Budzanów, S. Skodówna Stróża, J. Hupert Lwów, M. Kuzior Wadowice, Wyszatycki Jarosław, Z. Gaudnik Stary Sącz, A. Bogoszówna Drohobycz, A. Rotter Stanisławów, W. Laskowski Warszawa, M. Stachowicz Kraków, L. Złochowski Zaleszczyki, Sz. Smal Buczacz, S. Kaiserówna Sokal, M. Rożański Lipinki, M. Świszczowska Swoszowice, S Jasińska Abbazya, J. Dickmanowa Szczawnica, Wł. Czeppé Tarnobrzeg, A. Dzierżanowski Zielona, J. Badura Rożdzień, J. Ziąber Stanisławów, J. Januszewski Podgórze, A. Nikosiewiczowa Krzywe, K. Fuchs Czeremchów, M. Arbesbauer Lwów, M. Witkowska Łańcut, Z. Czemeryński Założce, A. Mussil Lwów, L. Górecki Rzeszów, A. Bocsoń Bóbrka. G. Adam Lwów, Z. Kropiwnicki Sambor, Sęp Warszawa, S. Grzesiński Lwów, A. Zimmer Mikulińce, B. Ramułtowa Jeżów, D. Sabat Słoboda rungarska, R. Sabat i J. Sabatowa Lwów, Z. Sabatówna Lwów, L. Sabatowa Słoboda rungarska, M. E. Rudeński Stanisławów.

Nagrodę przez losowanie otrzymał Z. Kropiwnicki Sambor. Prosimy o nadesłanie 35 h. na koszta przesyłki.

Z półek księgarskich.

Wyszedł pierwszy tom **»Nowości Literackich«**, zawierający nowele Kazimierza Tetmajera: Z wielkiego domu. Wydawnictwo to zapełnia dawno odczuwaną lukę: braku tanich książek współczesnej literatury polskiej. Nadesłany tom, który kosztuje w prenumeracie tylko 75 halerzy wykwintną i staranną szatą przewyższa wszystkie dotychczasowe tego rodzaju wydawnictwa. Prenumerata i prospekty we wszystkich księgarniach polskich. **Redakcya i Administracya w księgarni S. Sadowskiego w Warszawie.**